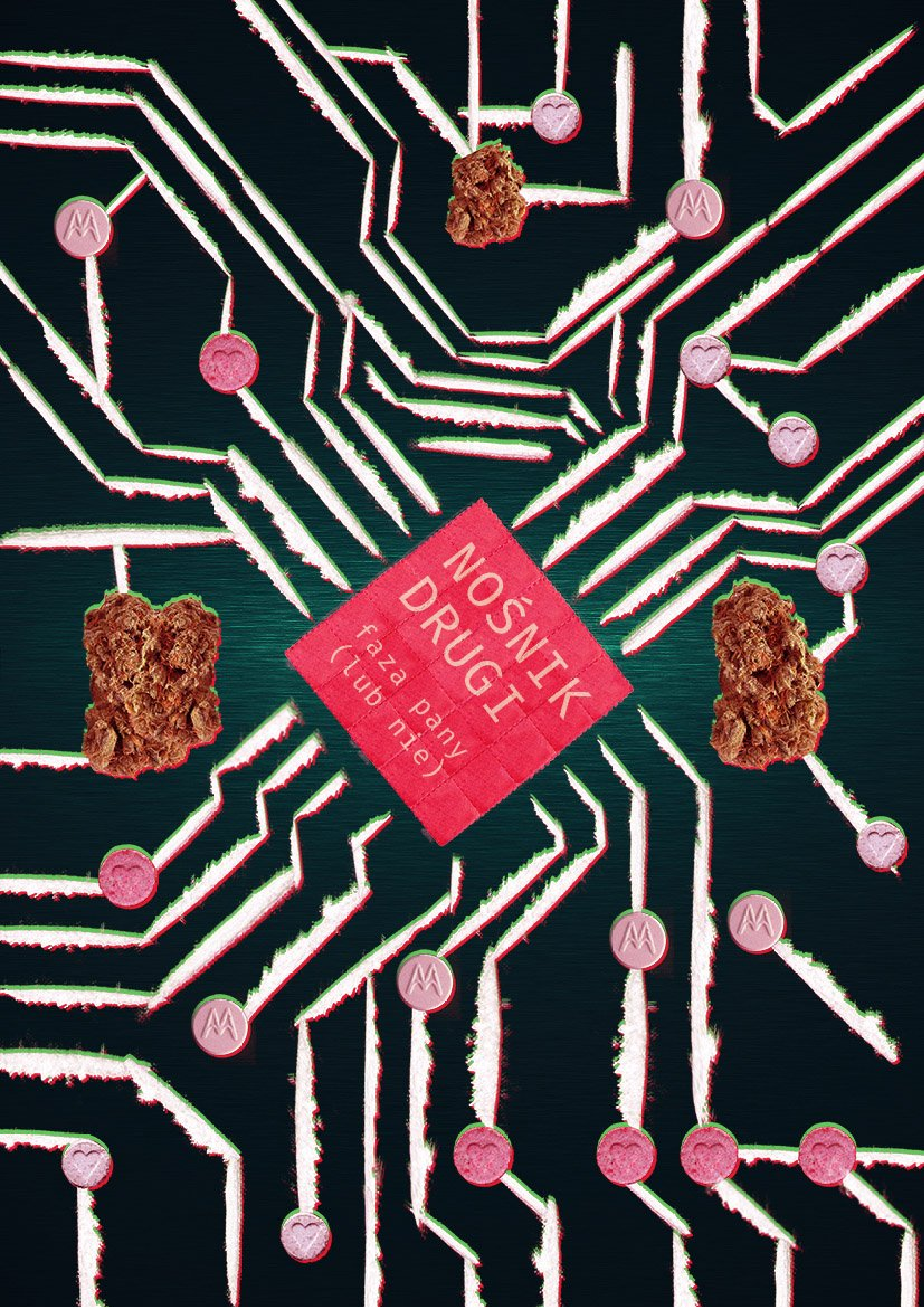
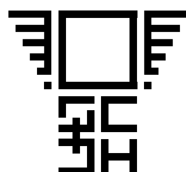

NOŚNIK
DRUGI
faza pany
(lub nie)



Nośnik
jest periodykiem
Hubu Wydawniczego
Rozdzielczość Chleba
http://ść-ch.pl
rozdzielczosc.chleba@gmail.com

Numer DRUGI, 1(2)/2014
Miejsce: Internet
Czas: maj 2014
Nakład: ∞
ISSN: brak sygnału

Redakcja numeru
Leszek Onak
Współpraca
Łukasz Podgórni
Arkadiusz Wierzba
Skład
Piotr Puldzian
Płucienniczak
Okładka
Agnieszka Zgud



intro?

Na pulpicie DRUGI-ego numeru „Nośnika” połyskują – czasem wesoło, a czasem w ogóle nie – ikony narzędzi do rozprężania zmysłów.

Adolf Hitler, niespełniony malarz, obok kału bułgarskiego chłopa oraz siekanych jąder byka, spożywał w dużych ilościach piksele RGB, a jego obraz pt. *Barbarossa* jest największą wizją ćpuna (olej w żyłę, 999999999 x 999999999 px), która została wprowadzona w życie.

Zapraszając autorki i autorów do DRUGI-ego „Nośnika”, wierzyliśmy, że otrzymamy stos porażek formalnych, w których niemiecki mundur (szyty w fabrykach Hugo Bossa [*TRUE STORY*]) poddaje się radzieckim walonkom (gruby filc w usta). Czekaliśmy na Stalingrad języka, a okazało się, że akcja tej opowieści będzie toczyć się gdzie indziej. Nie doświadczycie wyznań na kozetce, psów ujeżdżających wyobraźnię, nie będzie kombatanckich opowieści wojennych.

W zamian zapraszamy Was na imprezę z delikatnym beatem objawiającym się w przedziale 115-160 uderzeń na minutę. Przed czytaniem nie zapomnijcie o założeniu białych rękawiczek i wetknięciu sobie w usta gwizdków. W tej opowieści syntezatory nie są niczym niezwykłym, na ich widok nie popuszczamy; w tej opowieści syntezatory są wpisane w kalendarz wydarzeń odbywających się między piąteczkiem a czwarteczkiem. Puszczamy Wam rave'owy set literacki, w którym faza jest jednym z elementów imprezy, być może nie najważniejszym.

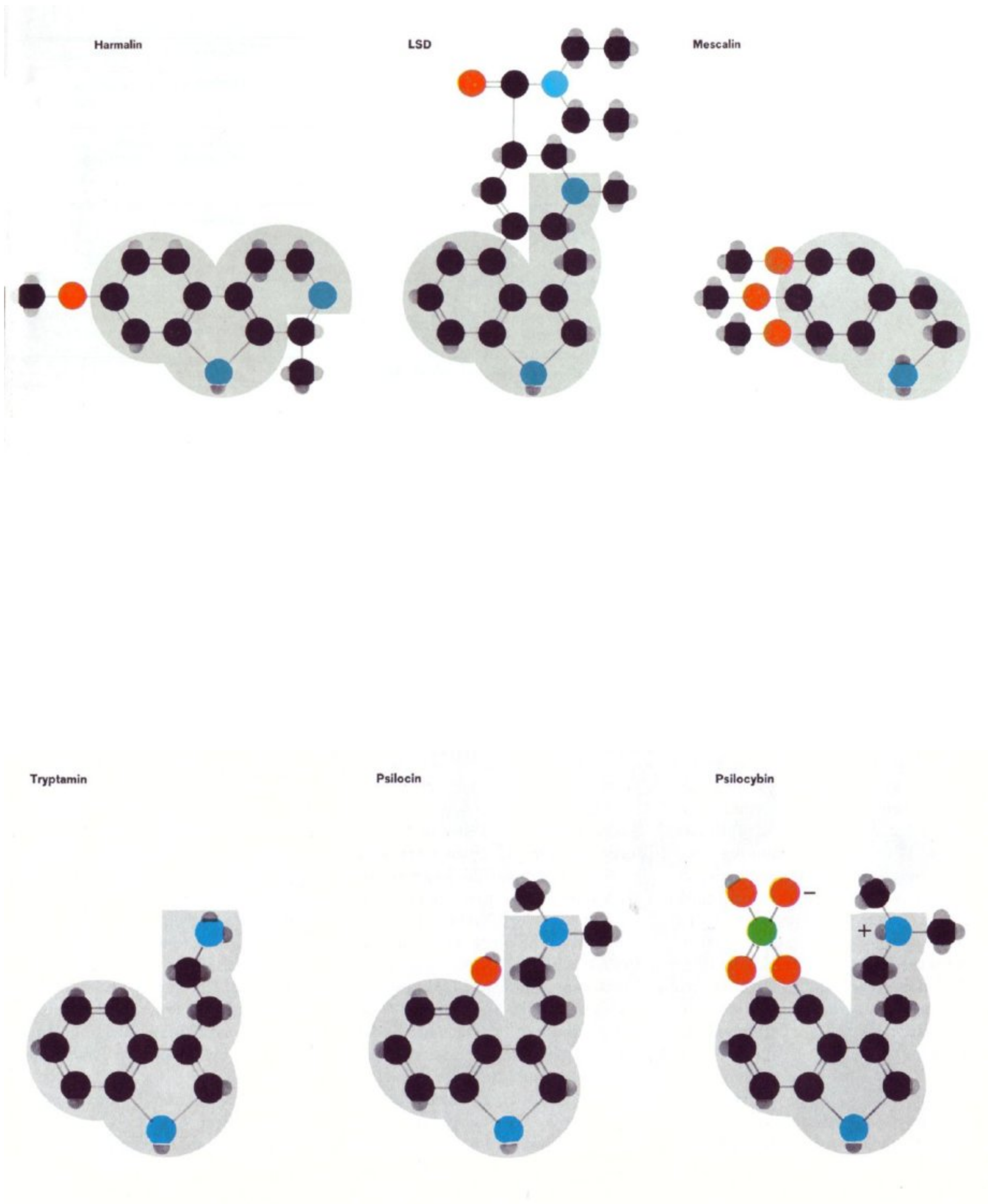
Zrezygnowaliśmy z typowej struktury folderów: poezja, proza i publicystyka, a w ich miejsce wstawiliśmy cztery podkatalogi: konopie indyjskie, stymulanty, psychodeliki oraz depresanty, którym przypisaliśmy cztery modele barw: CMYK, RGB, HSB oraz GRAYSCALE.

Zatem w dziale CMYK znajdziecie utwory, które zostały wydrukowane lub opisują druk plakatów na trawie. W kolorach RGB na monitorze wyświetla się kokaina, amfetamina, mefedron, brefedron. W barwach HSB zapoznacie się ze światem po MDMA, MDM, LSD, DMT. Natomiast w GRAYSCALE zakosztujecie jednego tekstu, który powstał pod wpływem alkoholu.

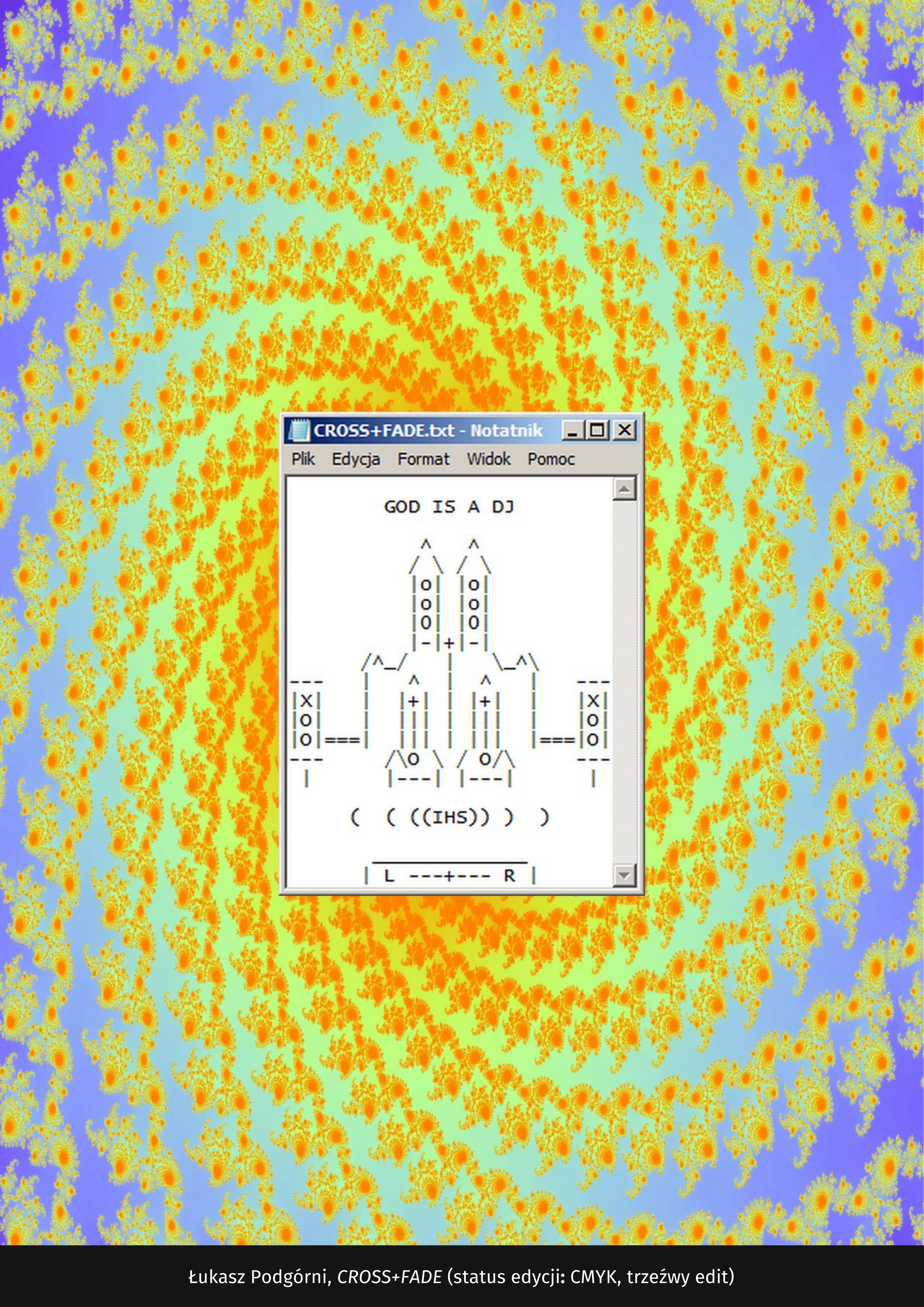
FAZA PANY (lub nie)

Leszek Onak

SPIS TREŚCI


Harmalin
LSD
Mescalin
Tryptamin
Psilocin
Psilocybin

CMYK



Łukasz Podgórni, *CROSS+FADE* (status edycji: CMYK, trzeźwy edit)

Maciej Taranek

#1

mam żal wielki i żar tak ciemny, że płonę przy każdym dotyku.

matka

matko,/a gdybyś miała ręce/jak gałęzie,/a na każdej z nich
[jabłka/jak synów,/a w każdym
z nich robaki/jak palce,/to który palec,/u której ręki/
[kazałby ci uwiązać węzeł/jak warkocze?

status edycji

w pustce jabłka jest pestka. w pestce jabłka
jest cyjanek. drylowałem jabłko. edytowałem jabłko.
jeb łka.

Ilona Witkowska

lepiej być czystym i zdrowym niż brudnym i chorym

mam same rzeczy piękne jak cudze występy

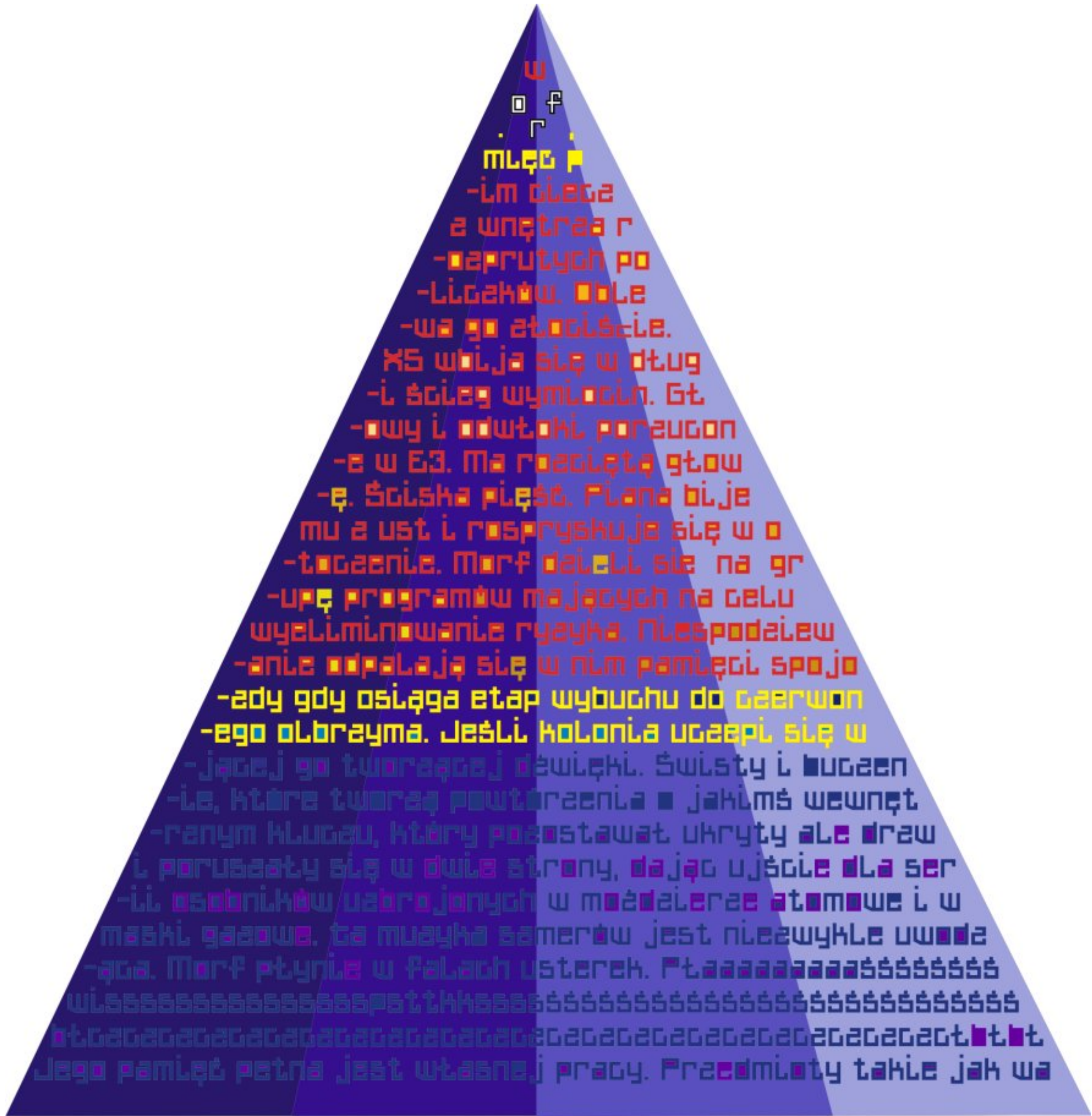
i tutaj tę rankę co się ciągle otwiera
mam tutaj tę rankę co się ciągle otwiera
mam tutaj tę rankę co się ciągle otwiera

mam tutaj tych ranek jedną, dwie i wiele

status edycji

alkohol i marihuana.

M
orf
zatrz
ymuje
się w pun
kcie C2. Ma
twarz pooraną
ciosami od wy-
ciągniętych rzą-
deł hordy wyzwolo-
nych. Jest wyczerpany
od ciągłego wysiłku, bi-
egu, ciągle odpowiadając
na ataki. W korytarzach podn
-iesiony powiew bakteriolog-
iczny. Wyraźne pleśnie i grzyby
zaczynają tworzyć dekolonizację,
która wkrótce zacznie rywalizować
z ulem jako kolonią. Życie atrzymało
się. Ul przestał tłoczyć somę. Sztab Gen-
eralny liczy i programuje krzywą kryzysu.
Wirusy i bakterie tworzą florę nautystyczną,
kosmiczną deflorację. Z bakterii tworzą się m-
ałe formy, które przypominają grzyby w znaczeniu
nadanym mu przez człowieka minus. Jeśli soma mia-
łaby zniknąć i przestać być tłoczona, wtedy fungusy,
pszczele grzyby staną się ewentualnie pokarmem dla zw
-ierząt cybernetycznych zamieszkujących miasto. Może to
zmienia ich podejście do samych siebie. Może to oznaczać, że
człowiek plus stanie się społecznie inny w jakiś sposób, a być
może da to wprost zmianę genetyczną. Do tej pory żaden z przeci


w
mlęc p
-im cieca
z wnętrza r
-ozprutych po
-liczków. Dole
-wa go złocliście.
X5 wbija się w dług
-i ścieg wymiocin. Gł
-owy i odwłoki porzucon
-e w E3. Ma rozciętą głow
-ę. Ściska pięść. Piana bije
mu z ust i rospryskuje się w o
-toczenie. Morf dzieli się na gr
-upę programów mających na celu
wyeliminowanie ryzyka. Niespodziew
-anie odpalają się w nim pamięci spojo
-zdy gdy osiąga etap wybuchu do czerwon
-ego olbrzyma. Jeśli kolonia uczepi się w
-jącej go tworzącej dźwięki. Świsty i buczen
-ie, które tworzą powtórzenia o jakimś wewnęt
-rznym kluczu, który pozostawał ukryty ale drzw
i poruszały się w dwie strony, dając ujście dla ser
-ii osobników uzbrojonych w moździerze atomowe i w
maski gazowe. ta muzyka samerów jest niezwykle uwodz
-qca. Morf płynie w falach usterek.
Jego pamięć pełna jest własnej pracy. Przedmioty takie jak wa

Maciej Taranek

#2

czego szukasz ręko przeczesująca włosy?

wiem coś

o strachu, spałem z nim zeszłej nocy, w gorączce czasu plamiąc prześcieradło.
pranie czasu wieszając się, bez użycia rąk, suszy się (samo) na sznurach czasu,

które, bez użycia rąk, wziąłem za węża czasu wijącego się, bez użycia rąk, jak
pijany ojciec czasu, który kołysząc stopami trawę, pęczniał jak kwiat na gałązce
jabłoni.

nie wiem nic

o stracie, nie spałem z nią zeszłej nocy, nie miałem czasu. kupiłem (ręką) jutrzejszą
gazetę i rozkładając (ręką) siebie jak gazetę, czytałem (ręką) siebie jak gazetę: a we

mnie był nekrolog ojca - jabłoni wrośniętej w ziemię, ojca - jabłka obgryzionego do
kości, ojca - gałązki złamanej jak ręka. teraz z ziemi ją podnieść, do łóżka ją zanieść,
ją mościć.



Ilona Witkowska

najlepiej jest tam gdzie jesteśmy bo to właśnie my

kiedy byłam mała babcia uczyła mnie
zabijać dżdżownice i nie przejmować się.
mówiła: depcz je! depcz! o, tak! o, tak!

przypominam ćwiczenie z oddychaniem na boki:

czy czujesz jak klatka się rozszerza?
czy czujesz jak klatka się otwiera?
czy czujesz jak klatka się zamyka?



Roman Bromboszcz, *ludzie-pszczoly-psi.png* (status edycji: thc)

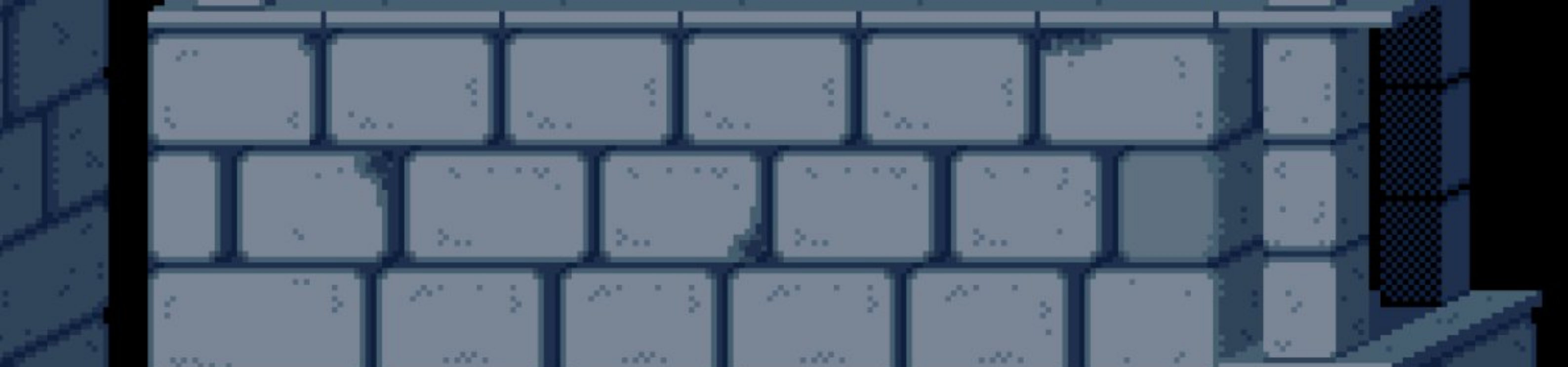
Maciej Taranek

#3

która to ręka włożyła ci monetę w majtki?
która to ręka włożyła ci kromkę chleba w usta?
która to ręka po raz pierwszy dotknęła cię tak mocno?

wiązadełko

pan podał rękę pani,/miał tylko na imię/i nie miał na nazwisko.



status edycji: CMYK
{LeszekOnak}

Print of Persia

Twarda katolicka wiara i chorągiew wąsów
powiewają nad CSS-em! Śpiewajmy im zapałki i dżem!
Jesteś zjarany? Nie, lekko przesunięty. Nie mieszczę się
w oknie. Gdzie się
znalazłem i kto mnie wyszukał? Telefon spotkał zręczną biżuterię
w formie potwornej przekąski. Print screenie, zażywasz
rutinoscorbin zamiast
podczerwieni. Dajże mi wąsy. Takie wąsy to byłaby
joomla. Ooops,
                        nie weszła mi
klasa.

Przeglądarka powinna przedstawić powyższy
fragment jako
                      width: auto;

Kuba Niklasiński
Techno, aikido, blanty, amulety

[*Cognosce te ipsum*, kolego. Wysiłek zapuszczenia się w ten gąszcz zostaje wynagrodzony rozmaicie albo przynajmniej zrobisz „wiem, czego nie wiem", wykręcisz się sianem, odwrócisz dupą i wyjdziesz z tego z twarzą.]

Piszę tu wyłącznie za siebie, tak jak każda faza, każda bania jest tylko moja (szuka i znajduje - sposoby i patenty), a każdy kac i zjazd jest tylko mój. A twój jest twój, weź go. Należy to podkreślić. Będzie to odrębnie podkreślone! Pisanie z używkami nie ma nic wspólnego. Owa relacja jest tyle zapoznana, co przeceniana. Pisania bez używek po wielokroć w ogóle by nie było. Wreszcie: pisanie, nawet już na trzeźwo, może być używkami przesiąknięte, przesmarkane na wylot. Wszystkie zdania są prawdziwe, różnią się jedynie tym, jaki kto robi z nich użytek. Umówmy się, że zostawię tu osiemdziesiąt zdań dookoła świata fazy, ze śladem używek na kołnierzu, a ty czytając, albo zaraz potem, zrobisz sobie fazę (na *20 000 mil podmorskiej żeglugi*) i zostawisz jakiś jej ślad.

Będzie to twój ślad czy jej?
Na obrusie, na dysku, na czerwonym dywanie rozpostartym, rzecz jasna, na dnie „oceanu" lub na Księżycu. A może wodny „znak czasów", hehe? Padło pytanie o „status edycji", a, jak wiemy, nie ma głupich pytań. Czasem tekst powstaje z marszu, na trzeźwo lub na bani, czasem powstaje w paru podejściach (na trzeźwo bądź na bani), z szeregu notatek (szeregu notatek!) spisanych na trzeźwo bądź na bani - i wtedy dzieje się to na trzeźwo lub na bani. Jak widać, kombinacji jest zaledwie kilkanaście, nawet nie wiem, ile, bez kitu. „Tak" było z *Sekretami*.

1.

Sekrety życia gwiazd i ten dzień doskonale jest środkiem, celem i radością
porządku w większym doskonałym porządku, porządku radości, w [...],
w większym i doskonałym [...] Popatrz,
jak „jak" powoli obraca go sobie w palcach, ugniata lub kruszy,
jak grudkę bliżej niedookreślonego dobra, którą następnie wieczorem,
pieczołowicie pod gwiazdami, niby kolejną gwiazdę,
sobie palisz,
wygodnie leżąc na ogromnym, wyciągniętym, ciepłym grzbiecie
Ergu Chebbi, tego wysuniętego skrawka Sahary jaźni.

2.

„Kto nie spędził nocy na pustyni, nie widział gwiazd",
tak się właśnie składa, że spędzasz i widzisz,
co potem niniejszym podziwiasz ponownie w swojej
nieruchomej podróży dookoła grudki, po czasie, zimą, w Polsce.
Na swej obrotowej plaży, wieży, nieuchronnie.

Nadpłacając lub zaciągając kredyt na mieszkanie lub podróże
jako miejsce (destynację) (och, jest li taka Wyspa?),
gdzie bogata mniejszość strąca w jaką przepaść biedniejące masy?

3.

Żartowałem. Tam w ciszy patrzyłaś w górę, i było 000000000000000.
Dużo zer. Punkty i miejsca między nimi puste, gigantycznie i katedralnie
[zaprojektowane,
tak że oddechu nie starczy, by się nim w tych kilku dostępnych tchnieniach
[odbić od sklepienia.

Zamieszkanie w ciepłym drżącym powietrzu „gdzieś pomiędzy" przynosi
[bezpieczeństwo.
Po drugiej stronie widać falujące ogrody roześmianej biedy, miłość drobnych
[zamieszek
i mętnych jezior, utarczki trzyletnich krytyków na rowerkach i śmierć;
[*z drugiej strony*, od teraz,
cóż mogłoby ci się stać; to w tobie jest źródło.

Na co liczysz?

4.

Procent i prom. Do gwiazd.

5.

pal, 11111111111111111, cel, życzę ci częstych, udanych,
radosnych i suchych skoków przez najszerzej pojęte
& naturalnie salt pod sufit. Twój
sufizm & zerojedynkowy satanizm (na rzecz tropikalnego lasu!) znajdziesz
[w ekwipunku.

Feng Shuj wymyślili chińscy złodzieje, żeby lepiej orientować się w mieszkaniach.

Co wykradali? Złote runo, którego nie ma.
Czym jest mieszkanie? Życiem. Życie niech
płynie, jak niebieska krew i *ad*
astra, krew niech „spoczywa"
na dnie szuflady, jak mydełko.

W Maroku skorzystałem z gościnności mojego (modelowego!) *cicerone*, mojego przewodnika Berbera, bardzo tajemniczego, mającego z kolei, jak mniemam, znajomych w obszarze Riffu. Korzystałem z tej gościnności jeszcze ze dwa miesiące po powrocie do Polski. Co się robiło? Pisało i paliło. Gruda była spora, wydajna i pożywna, lecz pisałem w jej towarzystwie właśnie ni mniej, ni więcej to, co miałem w głowie. Dlatego, choć, owszem, była ta pokusa, wcale nie jest to aż tak zmiażdżone, jak miejscami chciało. Tu „spoczywa" jeszcze jeden paradoks. To, jak używki i pisanie obracają się we mnie, owocuje częstokroć ciążeniem ku linearnemu wyrażaniu i czasem im większa faza, tym większa ciągłość, potoczystość myśli, a nawet konserwatyzm, pozorna składność lub logika, wtedy nagle w jednym kawałku i rozżarzona, jak żarówka.

Żeby pomylić wielbłąda z grudą haszu, trzeba by być szejkiem waniliowym.
Co innego znowuż zmylić pogoń, kiedy lecą ostatnie komety za McDonalds'em.
Co innego, co się wtedy stanie. To się niniejszym nie odstaje i wyświetla
w naszym teatrze cieni teraz.
To bardzo ważne, że zostawiłaś gdzieś zapalone światło. Będzie cię trzymało
i nie pójdziesz dalej w lej ciemności (ten lej masz na stanie), lej,
który właśnie się otwiera pośrodku mieszkania między tobą a drzwiami,
do których ktoś się dobija albo dobijał przed wiecznością lub najpóźniejszym
[wieczorem.

Lej i ciemność to wszystko, czego nie wiemy, nie znamy lub nie możemy przeskoczyć, głównie w sobie lub też między nami a „rzeczywistością". Czego się boimy i, przynajmniej początkowo, nie umiemy oswoić. Stąd tytuł, *Zwrotnik*. Używki pomagają tę rozszerzającą się granicę, fikcyjną linię, rozpoznać, ale tylko w nas samych jest potencjał okiełznania, olania, przekroczenia i ewentualnego spożytkowania przepaści. Np. sporządzenia z nich tadżinu. Pytanie o konkretne środki do bani. W zamierzchłej prehi-

storii były to fajki (pamiętam, jak swego czasu bawiło mnie to – a raczej budziło politowanie – że Witkacy na portretach odnotowywał również nikotynę lub jej brak, a teraz robię to samo). Pamiętam, jak w ostatnich klasach podstawówki, i pierwszych ogólniaka, popołudniami, czekałem, aż starzy wyjdą, zapalałem peta i przesączałem coś, co było wypadkową fascynacji Białoszewskim, Różewiczem i *Tao Te King* (tak, tak). Fajki zostały na długo, z przerwami, ale nie na zawsze. *Zielona góra* powstała całkiem (lub prawie) na trzeźwo, jednak mocno inspirowana m.in. przygodami z kannabinolem datowanymi od połowy ogólniaka (zbiegło się z Schulzem, tak, tak). Proste piosenki są już okołopijackie, na poły wielkomiejskie, na poły głęboko i beznadziejnie peryferyjne. Bo Polska B, również w sensie psychologicznym, definitywnie wiąże się z chlaniem i Biedronką. Zresztą, czytało się wtedy niezłych (literacko i pijacko) pijaków, np. Berrymana. *Mały Wóz* jest solidnie okadzony mniej lub bardziej nasyconym THC dymem, lecz, co ciekawe, coraz bardziej w trakcie pisania docierała do mnie ułuda związku między ćpaniem i pisaniem. Gdy teraz przeglądam ten plik, uderza mnie fakt, jak wiele tam („mimo wszystko" czy „wbrew pozorom"?) trzeźwych kawałków i momentów. No i mamy jeszcze „status edycji", który z pisania na bani może po prostu uczynić jedno z wielu narzędzi pisania w ogóle.

Użytek inspiruje pisanie, a zarazem bynajmniej nie ma nań decydującego wpływu. Może w równym stopniu pisanie nakręcić, jak i przekręcić, popsuć. Może wyobraźnię rozkręcić, ale i totalnie wyjałowić. Romantyczny i rimbaudowski postulat „rozprzężenia zmysłów, tudzież wyobraźni" nie sprowadza się wyłącznie do użytku, poza tym jest jedynie postulatem wstępnym, po którym przychodzą następne. Bez wędzidła nie ma galopu, a czasem po prostu trzeba zrobić sobie detoks, by odzyskać przyjemność orientacji (orientację przyjemności). Każdy Czyngis-chan ci to powie. Bo pisanie karmi się napięciem, a nie rozprzęganiem, a przynajmniej karmi się jednym i drugim. Najlepiej, jeśli pierwsze przychodzi w samą porę, na dużych głębokościach lub wielkich wysokościach tego drugiego. Kto zostanie Dziekanem Wydziału Poezji i dlaczego C'thulu.

W międzyczasie (a interwały, jeśli przyjrzeć się datom wydawniczym, były spore) brało się jeszcze to i owo. Wolne i szybkie.

Czasem świetne rzeczy (czasem na tyle świetne, że postanawiałem nie próbować znowu, a potem i tak próbowałem, po to by odstawić na kolejne lata). Lecz raczej nie pisało się bezpośrednio po. Najlepsze, „wszystko” (*Wszystko*?) jeszcze przed nami.

To chyba Lennon powiedział, że dragi nie prowadzą w inne światy, tylko oddzielają od tego jednego, w którym piechotą przyszło nam żyć. Ogłuszają i wyciągają z wnętrza to, co społecznie stłamszone, na tyle, że jesteśmy w stanie wreszcie usłyszeć siebie. Opuścić korporację. „Zmylić pogoń”. Zaczekać, aż starzy wyjdą – i całe to gadanie o próbach obmycia się z wpływu środowiska, które nas kształtowało. Bzdet. Lecz znów – pozor! – można skończyć w limbo układając sztos bełkotu za sztosem. Byli tacy i jeszcze nadejdą. Świat, jak się go odsunie i do niego wróci, może być używką. Koniec końców, to wypadkowa fazy w nim będzie wypadkową tego, co zwie się „nami” i co pozostanie „po nas” (nanana). Tekst pt. *Gambion* (tak jak wszystko przytoczone tu, z *Małego Wozu*) zamknąłem puentą: „Trzeźwość jako przygoda życia". Jest ona tylko na poły ironiczna.

Podałem swoim braciom i siostrom mówiąc,
hucząca zajebistość twoja. Wieczne obcowanie racz nam dać, panie.
W sobie, po sobie, i po tylko sobie znanych *trackach*
wierszami pozarażasz potop, łan i czas.
A byłoby to jak chleb życia popity kielichem zbawienia, ziom.

Stara śpiewka, cześć pieśni (gadaj zdrów?). *Sporysz*. Był to stenogram robót wysokościowych, ogromnej fazy, który przyjął pozór aż nazbyt linearny, jakby przywdział skórę, by móc się w ogóle sprawnie poruszać po dżungli i dać rozpoznać innym przedstawicielom zbliżonego gatunku. Wszystko z marszu, w pierwszym zapisie, status edycji: zerowy. Oczywisty pastisz religijny jest sygnałem wysokości, zarazem romansem z językiem i „zrozumiałością”. Bo nawet jeśli zapuszczamy się najgłębiej lub najwyżej, w warunki beztlenowe, w pisaniu chodzi o wspólnotę doświadczenia. Jemy sobie z dzióbków. Co kto przyniesie dobrego. Tłum indywidualistów w ciasnym przejściu do kibla. Ekstaza znosi różnice i granice, sama w sobie jest różnicą, sferą ambiwalencji w łonie starego, zna-

nego na wylot. Niczym słynny *pharmakon* (kurwy, lasery, pleśniowe sery). Dlatego to, co dobre w używkach i pisaniu, zaraża i to zaraża prawdziwie. Zatrucie sporyszem było określane jako „ogień świętego Antoniego", powodowało śmierć. Sporysz wykorzystuje się do produkcji LSD. Balansujemy między nielicznymi momentami poznania a jego shałdowanymi, sfałdowanymi lub sfabrykowanymi pozorami. Zastanawiam się, czy rzeczywiście jest to „poznanie", czy jedynie momenty zawieszonej instancji, zaburzonej agendy, zaślinionego psa w polu z łańcuchem u szyi. To jeszcze się okaże. („Nie tak dawno był tu shałdowany piasek na budowę nasypu łącznicy nr 1, obecnie mamy tu całkiem spory kawałek terenu"). To, co napisane, od czasu do czasu przebóstwia się w przestrzeń fazy. *Quod erat demonstrandum*.

Proszę, osiemdziesiąt zdań, osiemdziesiąt światów: OK, tu mnie masz, nie liczyłem. Liczy się to, że w żadnym z nich nie dotkniemy dna, nie dowiemy się ani nie przekażemy „raz, a dobrze", czego się nie dowiemy - i wiele wskazuje na to, że to dobra wiadomość.



Edit note for Korut

Trójwymiarowy model wątłego krzaka Cannabis Sativa, wygenerowany przez Łukasza Podgórniego we freeware'owym PlantStudio 2.10 z 2002 r. Wzorem przy tworzeniu obiektu były obrazy znalezione w google grafice.

Poszukaj linków na tej stronie, aby obejrzeć animowane gify.

Na sąsiedniej stronie wyhodowane w programie mutacje rośliny wraz z komentarzem skierowanym do programu.

CAŁKOWITA TRZEŹWOŚĆ.

OK

Cancel

Edit Breed Options Help

2

Time series

Edit Options Help

18 36 54 72 90



Łukasz Podgórni, *Korut w PlantStudio* (status edycji: trzeźwość)

Wojciech Stępień

Smaszno oznacza czwartą po południu

W powietrzu wzrokiem śledzimy dym,
który pachnący w niebo wznosi się.
I powolutku uderza do głowy,
aż człowiek wpada w nastrój zabawowy.
Chór pracownic kończących zmianę w fabryce papierosów – Georges Bizet, *Carmen*, 1875

Używanie muzyki jako narkotyku jest głupie.
– Karlheinz Stockhausen, „The Wire”, listopad 1995

Muzyka klasyczna (na nasze potrzeby nazwijmy ją dla uściślenia muzyką nutową, muzyką pisaną na papierze) jest dziś, z jednej strony, słomianym reliktem czasów, gdy *czyjejś* muzyki można było sobie posłuchać albo kupując tego *kogoś* partyturę i grając ją (bądź tylko czytając) samemu, albo iść na koncert, gdzie nagłośnienie pozbawione było prądu, a uwarunkowane znajomością fizyki i architektury. Z drugiej strony, jest nutowa muzyka działalnością pozbawioną swojego rytualnego (chce się powiedzieć – podstawowego) charakteru, która przestała spełniać jakiekolwiek funkcje społeczne. Jest zatem rozdarta pomiędzy dwoma biegunami. Na jednym jest już tylko *towarzyską* funkcjonalnością, na drugim – samotnym i antyspołecznym dyskursem na potrzeby jednostki (*Table for one, please*). Ślepe kury okutane porządnymi futrami w filharmonii kontra snobujące się geeki z samego dna gatunkowych głębin muzyki. (Oczywiście, nic nie jest takie znowu czarno-białe, z reguły moje refleksje samobiczują się na dwa zwalczające się obozy – kulejąca estetyczna dialektyka.) No bo jak tu, chłopie, puścić znajomym na imprezie Mahlera? Albo, co gorsza, Gérarda Griseya? *Nie, nie, stary, daj – ja coś puszczę* ***lepszego***.

Jak muzyka nutowa ma się do zajęć towarzyskich? W sumie, jak kij do nosa. Lecz co bardziej ciekawscy być może zechcą wyniuchać tu jakąś furtkę. Czy można delektować się muzyką nutową będąc w nastroju zabawowym? W nastroju, który prędzej motywuje nas do bardziej *angażujących interpersonalnie* czynności? Obawiam się, że można. A obawa bije stęchłym powietrzem piwnicznej samotni, do której często ta muzyka nas prowadzi. Mylił się sromotnie Karlheinz Stockhausen, gdy obwieszczał na początku lat 70., że muzyka ta zdolna jest podbić serca (sic!) milionów mieszkańców ziemskiego globu, że ma nawet zdolność zainstalowania na Ziemi wszechobecnego Pokoju; że muzyka ta zdolna jest być w tym sensie Funkcjonalną, co zagwarantować miało pozbawienie jej roli,

jaką spełniała od zarania swych dziejów – rytualności. Stockhausen, uciekając od repetytywności (uciekając od wielu „tradycyjnych" dogmatów, co czyniło go kompozytorem awangardowym, lecz co koniec końców doprowadziło go do całkowitej artystycznej klęski), oderwał muzykę od rytuału (od imprezy). Rezultaty całkowicie minęły się z zamiarem, bowiem pozbawiając coś czegoś <u>w teorii</u> może się sprawić, że <u>w praktyce</u> uwierać będzie poczucie dojmującego **Braku**. Gdy zastosujemy działanie odwrotne, może zrobić się ciekawiej. Gdy w teorii doszukamy się tego, czego szukać mamy w praktyce – teorię można naginać do woli, rzeczywistość jest bardziej oporna. Stockhausen miał płonną nadzieję, że rytuał stworzy mu się, gdy przedstawi chętnym tabelę możliwości. Gdy tymczasem słuchacz powinien sam zdefiniować zakres swych *degustatorskich* opcji (ocenić swój apetyt) i ukształtować swe auralne rozkosze na ich obraz i podobieństwo. (*Wybaczcie mi Stockhausena, ale kiedy tylko mam szansę powiedzieć o nim coś niepochlebnego, czynię to bez zastanowienia – trzeba wiedzieć, co nam <u>nie</u> smakuje.*) Tym sposobem nauczyłem się po swojemu słuchać muzyki nutowej – samemu tworząc rytuał i samemu tańcząc pośród pulsujących zwałów mózgowych. Posiłkując się często egzotycznym dla kontekstu (*czy nie?*) paliwem. Czy do muzyki *klasycznej* (poważnej, współczesnej) można zapalić skręta? A jakżeby inaczej mógłbym napisać powyższe (i tym bardziej poniższe) zdania?

Używanie muzyki jako narkotyku nie jest głupie, wręcz przeciwnie – jest (w moim przynajmniej przypadku) bardzo mądrym i **słusznym** eksplorowaniem zdolności intelektu do rozpoznawania, analizowania i interpretowania struktur, wzorów, faktur, barw, powierzchni, smaków, zapachów – innymi słowy: syntetycznej rzeczywistości tworzonej tylko za pomocą wibracji powietrza. Można zamknąć oczy i legnąć w bezruchu oraz obejść się bez sakramentalnego *trzymania się za ręce*. Muzyka nutowa jest stwarzanym każdorazowo (podczas każdego kolejnego słuchania) samotnym karnawałem, którego nawoływań można słuchać wspólnie, lecz frajdę ma się chyba osobno. Moim marzeniem, nocną nutową zmazą, jest dzień, w którym będzie możliwe podłączyć się do nagrania *Partiels* Griseya poprzez bioporty

i *wspólnie* eksplorować brzmienie leżąc w bezruchu na barłogu łóżka, jak Jude Law i Jennifer Jason Leigh w *eXistenZ*. Póki co, zachęcam do wypróbowania rytualnej playlisty wewnętrznej podróży – intelektualno-zmysłowego, auralnego wojażu. Kolejność jest tu raczej przypadkowa, zachęcam do rzucania *kostką*. *Chociaż z drugiej strony...*

Gustav Mahler – *VII Symfonia* (1904-1905),

a dokładniej jej groteskowy finał, obłąkańcze rondo, które nie widzi końca, bo zapomniało już początku. Tak, pomaga tu ogólna wiedza muzyczna; pomaga, gdy przetrawiliśmy już Mahlerowskie paranoje – nic nie zmienia jednak faktu, że słuchając tych dźwięków skonfrontowani jesteśmy z oślepiającym blaskiem muzycznych feerii. Fajerwerków wibracji, które oświetlają nam drogę w radosnym korowodzie brzmieniowego karnawału. *Oda do radości* umierającego romantyzmu. Promienna nekromancja. Poszczególne części symfonii (a jest ich pięć) zdają się wypełzać ze środkowego ogniwa – implodującego, opętanego *Scherza*. Jest zatem *Siódma* zapadającą się w sobie konstrukcją, skutkiem implozji – gonitwą multiplikujących się barw dźwiękowego spektrum.



Propozycja do słuchania: najlepiej nadaje się jako aperitif, do którego zawsze możemy wrócić, by zaostrzyć sobie apetyt, odpocząć po ciężkim posiłku czy, w końcu, aby zastąpić sobie brak jedzenia szczyptą smaku. Przystawka w formie (i o rozmiarach) kilku pełnych posiłków.

[*http://www.youtube.com/watch?v=4x_5J-nys4g*]



Georg Friedrich Haas – *I Kwartet smyczkowy* (1997),

tu częstotliwość (wysokość dźwięku) zaczyna być wyczuwalna jako rytm; jest *rzeczywistą* pulsacją. Dźwięk staje się bitem. Zamiast linii słyszycie chrobotanie. Skwierczenie przypalających się nut. Chciał to zrobić Stockhausen w *Kontakte*. Zrobił to (i robi nadal) Haas. Zamknięty w dzieciństwie ze wszystkich stron marmurowymi ścianami Voralbergu (Przeda-

rulanii) pamięta Haas, że *Vorarlberg ma zwarty kształt, a jej* (sic!) *granice są w większości oparte na rzeźbie terenu* (Wikipedia). Rzeźba jest tutaj słowem-kluczem, a w jej granicach niepokojąco baraszkują odległe (wysoko oddalone od tonu podstawowego) tła-alikwoty. Nie dzwoni żaden dzwonek? Nie szkodzi. Mamy tu do czynienia z najlepszą taneczną muzyką, przy której nie sposób ruszyć żadnym fragmentem ciała. Tańczą tylko neurony pogrążone w bezkresnym transie.

Propozycja do słuchania: zdecydowanie danie główne, świeże owoce morza zatopione w prześcieradle tnących język igiełek alpejskiego lodu.

[*http://www.youtube.com/watch?v=8TTFNZdqwvM*]

Wolfgang Amadeusz Mozart – Wesele figara (1786),



uwertura, kilka arii (*Che soave zeffiretto*, które słychać w *Skazanych na Shawshank*, tak swoją drogą, proszę zauważyć, co spotkało Tima Robbinsa za chwilę rozmarzonego snobizmu) – to taki bezpieczny (avant)pop muzyki nutowej, chroniona przystań pośród wezbranych fal dźwiękowego sztormu. Blisko Mozartowi do kolesia, na którego wszyscy czekają na imprezie, bo wiadomo, że jak wpadnie, to podłączy swój zaloadowany dobrymi bitami smartfon do pozbawionego internetu mieszkania.

[*http://www.youtube.com/watch?v=6Qv_6QPNfP0*]

smukło (*aksamitnie*) przechodzimy do...

Georges Bizet – *Carmen* (1875),

La cloche a sonné – kończące pracę kobiety wychodzą na plac pełen kończących pracę mężczyzn (patrz: motto tekstu); generalnie rzecz ujmując, lepkie jest *Carmen* od karmelowego erotyzmu, co z reguły jest mile widziane, a gdy jest mile słyszane, pokładamy po sobie uszy i mruczymy jak pieszczone kocięta. Dobrze jest czasem zanurzyć się w stereotypach, w końcu są w stereo. Bizet i Mozart popijający wytrawnego rieslinga na jowialnym alzackim `rauszu`. Wyperfumowane peruki i koronkowa bielizna unoszą się w powietrzu niczym latawce puszczane przez gromadkę porobionych przyjaciół. *LOL*.



[*http://www.youtube.com/watch?v=fE1l2-5yROY*]



Friedrich Cerha – *Verzeichnis* (1969),

czyli katalog. W tym wypadku spis obywateli miasta Würzburg skazanych na karę śmierci za uprawianie magii na przestrzeni pewnego czasu. Cerha wychodził tym utworem z pewnego rodzaju *zagubienia rewaluacji*. Wychodził wprost na kiermasz cmentarnych pamiątek, gdzie pośmiertne, cuchnące stęchlizną oddechy przodków kondensowały się w powietrzu przy akompaniamencie pulsujących grobowych pomruków. Jesteśmy tu, nie ukrywam, pośrodku powojennej kuchennej kłótni, gospodyni rzuca talerzami, gospodarz wnerwiony próbuje bezskutecznie nabić fajkę wilgotnym tytoniem, który lepi mu się do palców, po czym układa na dłoni w jasnowidzące kształty niezrozumiałych przepowiedni. Parujące potem i łupieżem auspicje w rytmie emitowanych przez ekran laptopa lazurowych blasków. Gdy świetlne sygnały przyjmują postać jednostajnego napierdalania po oczach jesteśmy błogo zgubieni. Czy mową mogą być gromkie tupnięcia? Czy wieszczby mogą w językowo **zrozumiały** sposób podnieść **rwetes**? Ciężki deser: ser pleśniowy w biedronkowej promocji smażony na promocyjnym oleju. Posiłek, do którego wiele musimy sobie dopowiedzieć, ale który koniec końców jest niezbędnym etapem każdego pokarmu.

[*http://www.youtube.com/watch?v=qpgFPRyNr0Q*]



Horațiu Rădulescu – *Clepsydra* (1982),

wstępowanie między zwisające z niewidocznego sklepienia metalowe liany, dygoczące, drżące bądź kołyszące się swawolnie w oparach metalicznych pomruków tego odhumanizowanego świata, pozbawionego co prawda ludzkiego ciepła, lecz pulsującego na nowo oddechem natury. Obserwowanie z wolna obracających się trybów czasu, mielących między sobą czaszki bezzębnych starców mamroczących w zapomnianym języku kamieni. Gdy coraz szybciej opadamy na dno, czy czas przepycha nas przez wąskie gardło klepsydry? Meldując się w pozbawionym budzika pokoju hotelu *Rădulescu* zapomnicie z bananem na twarzy, gdzie i kiedy jesteście, zapomnicie nawet, czego słuchacie. Skończycie w przydrożnym trawniku, niczym obcięte ucho z *Blue Velvet*. Z tą jedną różnicą, że nie znajdzie Was agent Cooper, lecz Frank, z którym radośnie rozpoczniecie dźwiękowy **gangbang** bezbronnej partytury. *Music wants to fuck*. Lateksowe menu – zakneblowany starter, ścięgna, włókna, metaliczny posmak surowego mięsa.

[*http://www.youtube.com/watch?v=icJNmcSwHk0*]

jako boczne danie
w nawiasie:

(Ole-Henrik Moe – *Lenger* (2006),

czuć tutaj kalekie dziedzictwo większego talerza. Kaprawy bękart potrząsający kończynami w rytm zaciętej fisharmonii. To spektralny jarmark, Drodzy Państwo! Zapraszamy! Myślisz, że to świat się kręci wokół Ciebie? Ty się kręcisz w jego środku! Karuzele pod dachami! Nad dachami *miast*?) Doustnie przyjmowany gag.

[*http://www.youtube.com/watch?v=J_KwdT73DYg*]



Gerard Grisey – *Partiels* (1975),

sztandarowa kompozycja spektralizmu zabiera nas w labirynt ciasnych ulic pojedynczego dźwięku, pokazując, że ton jest w istocie jak miasto – ma swoje dzielnice, podwórka kamienic, gdzie pijani rzucić możemy się na pozostawione przez mieszkańców stare kanapy i fotele, bary leżące nam po drodze do innych barów, w których i tak zostajemy gapiąc się na ogromny znak zapytania wynajmujący powierzchnię ogromnej, białej ściany. Są okrągłe place pozbawione kresu swych kulinarnych możliwości, ścieżki rozpustników pogrążonych w malarycznych słowotokach. Poszczególne architektoniczne konstrukcje klepią się przyjaźnie po plecach chwaląc swe najnowsze elewacje. Karuzela za nic nie chce przestać się kręcić. Bo niby i po co? By wrócić w kierat terkotu komunikacji publicznej? Zapomnij! Przechodzimy na drugą stronę, by przetransponować się do tonacji bretońskiej, pamiętajmy: ***galette*** to słony naleśnik z mąki gryczanej, pszeniczny ***crêpe*** natomiast podawany jest na słodko. Potrzeba definicji dodaje nam rumieńców. Gdy pośrodku utworu znajdujemy (podniesioną z podłogi, bądź schwytaną w locie) nadmorską knajpkę, gdzie gospodarz uraczy nas **pluszem diatonicznych arpeggiów**, wiemy, że mamy **BANIĘ**. A jesteśmy dopiero w połowie drogi...

[*http://www.youtube.com/watch?v=jqzukP_BtW8*]

Było smaszno, a jaszmije smukwijne
Świdrokrętnie na zegwniku wężały,
Peliczaple stały smutcholijne
I zbłąkinie rykoświstąkały.

Wybaczcie, cytuję z pamięci. *Smasznego!*





Przemysław Witkowski

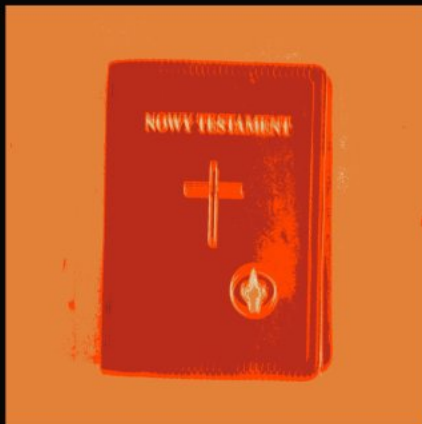
spalanie jako proces

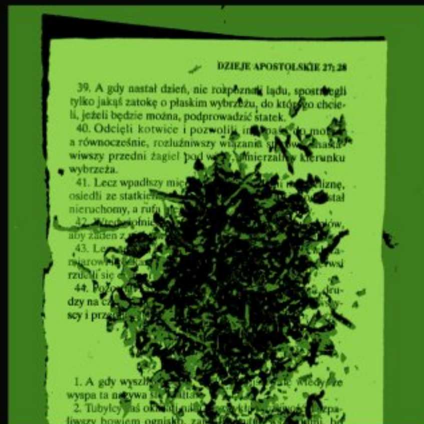
zasypiając po „szronie” wiem,
że piętro nade mną
przesuwają po podłodze
niewielkiego wieloryba.

wiem to,
jest w innym żołądku,

sens tego jest prosty, wiem to,
trawić, spać, być trawionym.

status edycji: kosmiczne ilości syntetycznego THC (nazwa handlowa AM 2201, nazwa lokalna: szron)









Microsoft

WHAT DO YOU WANT TO SMOKE TODAY?

Leszek Onak, *Microsoft* (status edycji: CMYK)

Szymon Szwarc

Pierniki i twierdzenia

1.

Wreszcie mogłem sobie uciąć.

To wielki sukces twojej postawy,
stwierdził mój kolega, cień mojej
postawy.

To wielki sukces mojej potrawy,
pomyślałem.

2.

Nieodżałowana strata przychodzi
z taką lekkością, że ociera się to

o mądrość, pod którą ugina się
sens działania na rzecz.

Z posianych kluczy rośnie obłędne żyto.

3.

To będzie.

Krzyż ze szczudeł?

Bieg (wersja kieszonkowa).

3.

Co to będzie?
Wreszcie mogłem sobie usiąść na pniu.

Ścięte pędy będziemy pędzić!

4.

Koniec

rozmowy

(kiedy akurat odlewam się z księżycem
na karku i nie ma tu rzeki, a była).

6.

Urodzony
żyje.

9.

Jeśli da się to powtórzyć,
żyje dwa razy.

4.

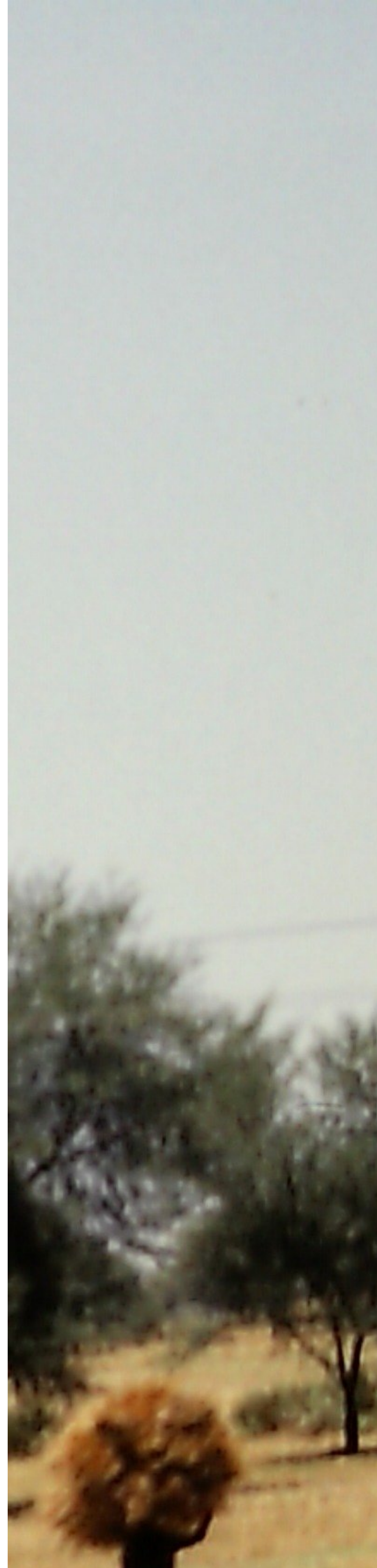
Jeśli da się to powtórzyć,
cztery.

7.

Urodzony
z wielkiej litery

w małych się też odnajdzie,
może nawet rozpozna.

Może nawet rozpozna
swojego ojca.



7.

Światło cudzego domu
jest własnością i potencją.

Światło naszego domu
jest wypadkową lęków i obaw

przed smokami.

8.

W formularzu widzimy kogoś,
o kim można powiedzieć w umiarkowanie

uprzejmy sposób. Jest dobry.

Jest dobrze.

Jakby przestało mieć znaczenie to,
że szczerzy się poza substancją.

10.

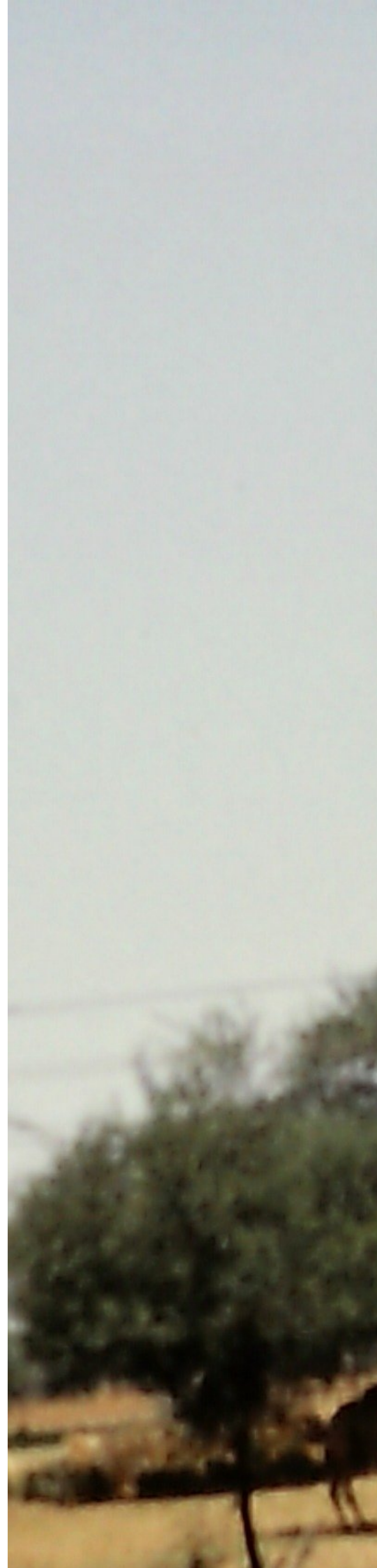
Jeszcze Polska. Jeszcze ona.

Jeszcze nie.

9.

Siostro położna: załóżmy zamki.
Załóżmy też oścież. Kratę na oścież.

I małą syrenkę. Przetestujmy smoki.
Już dziś.



40.

Z wytartej mopem plamy po piwie
powstało na podłodze lepkie, schnące

serce.

24.

Przecież substancję
już mamy

gdzieś?

10.

W dwóch metrach sześciennych
czujemy się jak na wsi.

16.

Teraz tak: myśl sobie, co chcesz,
ja zrobię to samo i spróbujmy się
nie spierać, a dożyjemy starości.

1758.

Drzewo widziane z okna
jest monodramem.

Wykręca gałęzie
w ciemnych momentach.



40.

Z worka na śmieci
wydostała się klatka piersiowa

kurczaka. Z drugiego schodka domu
wygląda jak serce zdrowego człowieka.

11.

Pierniki
we śnie.

(*brak odpowiedzi*)

Zaczekaj.
Nie w śnie.

12.

Lub zamknij.

`status edycji:` piwko i cheese (pisane na emigracji, pod wpływem angielskiego skuna w dniach wolnych od ciężkiej pracy, spożywanego w ilościach wystarczających do robienia niczego, poza siedzeniem i nie ruszaniem się); edytowane na trzeźwo.

Arthur Chapman: *Wheat Harvesting near Jaipur* (CC BY-NC-SA)
https://secure.flickr.com/photos/arthur_chapman/7660189100

Przemek Krzakiewicz - *DIY*

Nawigatorzy palców wykoncypowali wachlarz pojęć określających papierosa wypełnionego suszem z konopi pomieszanym z tytoniem. Obok powszechnego jointa czy skręta, możemy spotkać (zależenie od regionu, proporcji i grupy): bata, bacika, batonga, blanta, baksa, gibona, lola, lolka, pacana, packa, spliffa czy wąsa (i wiele innych). Korucenie wyswabadza język ze *Słownika* Doroszewskiego i przesuwa go w regiony słodkiego lenistwa, które pod postacią magicznego pilota, bez potrzeby wstawania, włącza każdy telewizor.

Przemek Krzakiewicz w swoim cyklu *DIY* archiwizuje narzędzia do rozprężania zmysłów, ratuje je przed zapomnieniem (spaleniem), a przede wszystkim pokazuje różne szkoły nawigowania palcami, a jak się przekonacie, jest ich bardzo wiele. Na łamach „Nośnika” prezentujemy tylko cztery prace z kilkunastu. Jeżeli chcecie wziąć udział w projekcie, skontaktujcie się z Przemkiem (http://www.photography.com.pl) i pokażcie mu swoje piloty.

[Leszek Onak]



Bezrobotny



Psychoterapeutka



Prawnik



Producent filmowy

RGB



Jazon Jazda w Siodle Dorożka Jerzy Pastewski

Malbork, Cypriana Kamila Norwida

Pozostała działalność rozrywkowa gdzie indziej nie sklasyfikowana

---

Arkadiusz Wierzba

Wąs to chmura pierzasta. Tripcolage

Installation pack:

Pseudoephedrini hydrochloridum 1650 mg
Cetirizine dihydrochloridum 70 mg
Acidum acetylsalicylicum 1000 mg
Coffeinum 320 mg

Optional:

(6aR,10aR)-6a,7,8,10a-tetrahydro-6,6,9-trimetylo-3-pentylo-6H-dibenzo[b,d]piran-1-ol

Preparing to install:

Tuż za winklem aptecznym sprawna deblisteryzacja materiału z towarzyszącą temu podjarą, trzeba se kawę naruchać w Żuczku albo enerdżajzer nabyć w Koronce, potem spacerem na chatę i kołek w buzię (opcjonalnie). Jeszcze przed wejściem na klatkę, na pełnej odludności: mocno pogryźć, spożyć, a śmieci wypierdolić do publicznych koszy. „Potem" nastąpi w zależności od masy ciała, przebytych operacji oraz pory i obfitości ostatnio zjedzonego posiłku w ciągu trzydziestu do sześćdziesięciu minut.

00:30 Loading ||||| 50%

Spora presja na dobór nuty, każda podkurwia, kurwa, a tętno se napierdala, już sto dwadzieścia na budziku pękło, na tej granicy za wora trzyma je stanowczo cytyryzna – siostra mleczna hydroksyzyny, siekiery Jarosława z okresu wyborów postsmoleńskich (a może to jednak jakieś benzo było?) – i jej krucha, przegryziona powłoka, co niby spowalnia. Chujowo spowalnia, bo jakieś dziwne arytmie wykręca (chrońmy serce kwasem acetylosalicylowym). Stymulant i trankwilizer: co to za połączenie w jednym batoniku i jak bardzo komuś odjebało, że je wymyślił? Mikołaj Bugajak: „Znaleźć dobrą pętlę, która nie nudzi i pozostaje świeża przez kilka lat, to nie jest coś, co wszyscy potrafią”[1].

00:36 Loading |||||| 60%

Narkotyki są w Polsce nielegalne, oprócz tych, które są legalne. Wybierasz między ulicą i farmacją, masz tylko piętnastka i garść żółtych mońców, więc, dajmy na to we W.R.O., stać cię maksymalnie na bilet do kina LEGAL, przyklepujesz dil z farmaceutą, nie pierwszy raz, więc się ziomuś głupio uśmiecha, z politowaniem chyba. A ty nadal lubisz jazdy typu *over-the-counter*, i lubić nie przestaniesz, bo cenisz prostotę, względny brak przypału, stymulacyjno-euforycznego kopa i cenę. Koledzy z podwórka mają z ciebie bekę? Chuj im w dupę, bo przynajmniej widok niebieskiej kabaryny na wylocie z rewiru nie kończy się u ciebie sraką w gaciach. W dodatku rynek rozpoznał w tobie konsumenta i wypuścił szereg generyków wycofanego prekursora, więc przebierasz jak w ulęgałkach. Ulęgałki, pobudka! A *designer drugs*? Nie da rady, wolnych dwóch stówek na kuriera i paczkę brakuje, poza tym nikt nie dołącza do nich ulotki.

00:45 Loading ||||||| 75%

Jeżeli święte młodej wyobraźni / Tripy kitrasz w swoim sercu czyste, / Beta-testerze, czerp stąd ostrzeżenie. Jazda, / Choćby przebrała się najwykurwiściej, / Zawsze wpierdolem jest. Ten, kto lekceważy / Chemicznego strzała, niesie w sobie HOAX, / Co nie użyty śpi,

1 Por. A. Wierzba, *Wąs to chmura pierzasta. Tripcolage*, „Nośnik”, nr 2/2014, s. 48-52.

a kmina w nim ciągle / Jest w powijakach. Ten, co stale w pilsy / Jest zapatrzony, zawsze widzi tylko / Najmniejsze dzieło apteki, co chuja / Obchodzić by mogło serce nerda – serce / Zawsze obłudne, jak nas bloki uczą. / Nie zapominaj, że prawdziwa faza / Szaleje na gwizdku. Tylko ten szczerze system pierdoli, / Kto w cichych chwilach przymulenia umie / I podejrzewać siebie, i popieścić po czułych miejscach.

00:60 Loading |||||||||| 100%

Instalacja zakończona powodzeniem. Oznacza to, że możesz w pełni korzystać z legalnej wersji tego programu. Dziś użyjesz go do emulacji oraz do zapisywania w edytorze tekstu zdań wypowiedzianych wcześniej na głos. Podstawową biblioteką będzie szeroko rozumiana „baza emulatorów":

«WIELKA BAZA EMULATORÓW !!!»

Emulacja - potocznie pisząc jest to duplikacja jednego systemu na drugim np: Amigi na PC lub Play Station na PC.
Konfiguracja - czasem prosta a czasem skomplikowana. Najlepiej do każdego emulatora znaleźć info w google bądź mogę coś podpowiedzieć lecz czasem ciężko pomóc nie widząc problemu.

UWAGA !!!

Gdy masz problem, coś nie działa to nie pisz tego w komentarzach wprowadzając w błąd innych użytkowników. Chodzi tu najczęściej o poprawne skonfigurowanie. Napisz wiadomość a ja prędzej czy później na pewno odpiszę.

Pozdrawiam wszystkich maniaków emulacji ! ;P

Autor tego chomika nie ponosi żadnej odpowiedzialności za niezgodne z prawem wykorzystywanie zasobów znajdujących się na tej stronie, co dotyczy także rzeczonego programu. Ogłaszam P, A, R, R, O, T, by skalibrować azymut kości gnykowej. PARROT. Nie znaleziono błędu. Tylko pisior się potwornie skurczył! Mój biedny mały PARROT! A więc to jednak nie ekstazka, kłamały famy i doniesienia, łgali gimnazjaliści na hypku, to nie będzie film dokumentalny o cywilizacji miłości, żegnajcie dziewczyny, zostaje muzyka na kwadracie i pisanie smutnych wierszy o zwiędłych pytach

(o ile wszystkich możliwych nie napisał już Piętniewicz). PARROT? Szturcham, ale nadal nie odpowiada. Zakrztusiłem się tlenem.

RUNNING 01:22

Palenie papierosów wziąłbym w nadmiarze, na tylnym siedzeniu. Proste rzeczy, które mnie zadziwiają, jak ten samolot, co przeleciał nad, a ja znalazłem się, patrząc na niego, w chmurach: szum, intensywne drętwienie, ruchy klatki piersiowej, dźwięki z klatki schodowej. Dziękuję za moją wątrobę. Teraz chciałbym porozmawiać z kimkolwiek, lecz czaty wyludnione, a kultura sąsiedzka odeszła wraz z republiką ludową. A jak się ruszę, to gdzie? Nigdzie się nie ruszę, bo badam radość siedzenia i jej warunki brzegowe, a świat ostatecznie mogę sobie wymyślić. O tej porze narkotyki wciąż wydają się fajne, jak wycieczka do lasu za gówniarza: z oskardem, płachtą brezentu i garścią kaszy. Zimno w chuj, gleba na kość zamarznięta, nie sposób wbić tej jebanej motyki, no i zapomniałem garnka do kaszy, nie wiem, jak rozpalić ognisko przy minus dziesięciu stopniach. Ale jest las, księżyc, witaj, przygodo, Góra gdzieś po krzakach sprawdza pewnie, czy nigdzie „nie gwałcone jest prawo do aktywności", zwierząt też nie brakuje, czyli wokół przyjaciele, swojsko, znane terytorium, nie pierwszy raz przecież zwiedzane. Kasza zbędna, nie ma głodu, śmierci nie ma. Herta Müller: „Kto to podważa, nigdy nie miał / niewidzialnego bagażu / i wcale się nie zna".

OVERRUNNING 03:40

To brzmi jak przytłumione odgłosy serii niekontrolowanych detonacji, może kolejne powstanie albo ostateczny upadek ludzkości? Częstoskurczem posuwam się w dół, łapię okazję na oddech, brak tlenu już nie cieszy. Gdzie się podziały tamte arytmie wesoło poniewierające stukilogramową bryłą? Zostały katalogi o dziwnych nazwach, pliki o nieznanych rozszerzeniach, tajemnicze screenshoty i ślepe zaułki wiodące od skrótów: pulpit się wyalienował. W panelu narzędziowym emulatora brak opcji „zakończ natychmiast". Muzyka? Film? Ciasteczko? Lufka? Nie, wypierdalać. Z jarunkiem próbowałem przy 3:20, co było pierwszym sygnałem do wkroczenia brygady rozbiórkowej.

EXIT 07:20

Nienawidzę skurwiela, który napisał ten tekst.



[illegible]

[illegible]

[illegible]

CZY TYLKO JEZUS CHRYS
TUS MOŻE ZAKOCHAĆ SIĘ W
DŻINCE LODOWANIE KOCHANKO
WANIE ZATAPIANIE FREZOW W
MACERZACH WSPP PSTRPCH
PO ZUZYCU HEMAFRODYTA ZAZW
YCZAJNIE ROBI SĘI NICZEGO S
ZCZEGÓLNEGO NATOMIAST ROBI
SIE DUZO BY ROBIC COKOLWIEK



łukasz podgórni

#ffffffeta

kolorem amfetaminy w hexie
nie może być #ffffff
#ffffffeta wcale nie jest biała!
kod źródłowy rąbie czysty
błąd:

biały to może być człowiek
czerwony to może być człowiek

zapisem krwi w hexie
nie może być #ff0000

wypełnienie rumieńca
policzku widzę to w barwach
różowych
ze wstydu:

różowy powinien być człowiek

myślący kolorem nie myślący
gradientem ludzie ludzie
obczajacie
gradient?

status edycji:
CMYK, whisky edit

The Konami Code

Wycyckales mnie folderze na kresce welny,
a myslalem, ze pociagniesz sluchawki razemmmzdzzzzzzzzzzzzzzzzzzzzzz
wwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwwww
wwwwwwiekiemmmmm%%^&%#@^&%^&%#^&!%#^&@%!^#&%!@^&#@!&^*#^&*!@^#&&*^@!
&#^@!&*#^&*@^&*@!^&#*^@!&*#^&@*!^#&*@!^#&*@!^&#*^@!&*#^&@*!^#&*@!^##
%^&#%bez nazwy 1#$%#@przechodzi w*&*&bez nazwy 1&^*()!^$%^$^&*#$%%^
^&*^%^&%^&*^*&^%^&%&^przechodzi w@#$%^&%^&&^&$^&^&^%$%$#><?$%^$%^$%d
_+&&^ bez nazwy!@#$%^&*!@#$%^&*()!@#$%^&*(!@#$%^&*()!@#$%^&*()(*&^%$
!@#$%^&*@#$%^^^1<><?|}{ö:(@#%&:::{@$$%^$#!&&^*(&%$#@#$^^&!@#*(&^&$%^
:ö|ö:<>?<*&!#@%$%^@#%$&*&*&*^%^$%w&*^bez nazwy$%^&&*(&@$#<>?ö(^#@!||
%&^#$(^$@%ö:{&&$|_+#@$^&}$#@#$|?><>!@$%%^&%&(@@#$?%jotpeg&*^$#$%*ö:|
^%^*@#$%$%^&)&$@!ö:|}^$^)>?/,^%#@!odtworzyszedl do%^)#|ö}*>@#öff:|%#@
@%^&*)&%#@%^ö:ö|{?>$#^&&*(%#@<^ötylu%$%*&*!@#$)^%#@{|ö*&><.?%#,@#$%)
@(*&^$@$%&*<|(^$<.#%&**^&%^&::ö}%|@w rekach ob^%#@):ö::|||||||%^%^#@
&^#$)(^%#ö:|{P_+^>.^$#^@()_+-#raca foldem racam folde#(^@*()_}|ö><
%^(@__*#^@*@ö|}?/@&*&@%!$@^%@!&~na Gora Dol Lewa Praw(&%@!|@.!$&*@!!
^&*@#*(&%:ö#@$#@{$#@>$#<(*&*&^$#>|#@}@{{#@!>*#)!#ö:{||#@!(&$^%$**(@#
&^*#@öö:#@!|>(&!@$#:{*^&$)(&^@öö@@||%tryb schodkościol w*(&#}{ö|<>$%
%#&@!($%#&*#($*$&:{}|ö>^$&@(!*#())!(!#&%^#<>#&!(@%$*#!(#!#^#(@#@spa-
^&*@&#*@&#*(@!($*^%#@(*()#%!&$^!@(*&*(^{$@^&^*%$@!*&(&$@!*&&&$*%@!*$
%#ö:{}!@$%?$@!>@#<@!!$}#@!*wodz! focje Z! powtorz obrus*&(&*@!#*(^#@
&*^*!@#ö#@!:|@!><&$<@!*(&(#@!$#}w dol&*#$(*)@#^$ö#:|}#!&#@!::||&cje^
^#&@!()(*^$&*@*&ö@:@!?@&$^|$&*)-ö#@|@$%\$@!fi!(*@%@!ú&%#()!}ö|.!@#*^%
&^&#@&#*(%$()(&*&#*(@&#*(&*&#*
(()#{#@!|?#@:ö ^!*#&$^!(#*ö#!|#
:ö|>#@^$|#@*:#@) &{#!}ö:#!|>#@(*|
^#&&(*#>#*(+#|ö> (!@&|}#/!.&?#@)(
&#>/>#?#(*)#^&$* *^(*#(##@!))#@|

Choose drive:

Gora Dol Lewa Prawa B A

^#*($*&%^_+#@^$*@ö:#||?><#@!*&#{@!<#*&#$_+#@!||}{::>#@&$^*@(!&%{@ö*&
#&$#*:$|>?<$#***@#*$#@&$#@^cza sie*&*(^$#@$#|:>$#@?$#@&$#?*@#^&*#@
^)(#@!#:#ö.,&#^$!(#@!()&{}|:>::::#@!>wargom spie&^$*@)#@&$^&(@&*(@#^
()*(^$ö|{}$*&*($%^*&*(*(*^$#@^&czonym TRUE*&#^$#(^#^ö#^@!#*(&*%$*@!#
&$%^#({$#>$#@^(@!^$({|$#&&^$&!@^%%*#wartość jak URL sport≤w klat*#
&^^$#@&#$^@!(#*()@$^przechszchca sie(&#?,>#@!$^&!@*$%#*($^%$@!(*^%$!
&(*$^)(@$&^*%(@*{#$@!ö$@!:$@!|$@=><$&_flesz(&*%$!@(*&{}ö|:{@!^&%$(*@
^^*(&(*()@$^$!@()&ö:#@!^$|$&^@!$s|uchodzi p|owadres_@^#!=:&^@!+@&*^!@
&()$@#&%%(#na<>ö:{:{:<>*()+_ö:{++*(*&*(%$@^$@*#&*(&#^$%@!&*#&*@(()*#
()&$^#){}:ö:{:{}:ö><>klatki zdzw plus&$*(#&$*#%#&$$^!*($@()$&^{:{$!@
&*$(^#()${:ö|:>:{$@!:uszcza kacje()&$*#{}:{:$#@^&#@%$#*&$*:{}:#@$^$#
&$#%*({:#do obrazka*&*#^$#*&^*(%{:ö:{#@*&$%!*&#$@(!*${:>:{:>#:>@#$
&#@*(&#$@!*na wy*(&${:ö:*@&$^*(!({:PL$*$&@!*%$*$^{:>?./|ö:ö{#@!#^@!%
&*($&bez*(&$!@:>ö:{*(^%$@!LP{&&{(^&$(*@^%!*#^%@!*^:öö?>ö*&$!^^!:>#@!
&(*:>*^$!@(nazwy(&()&%^():{}:{$*^:>#*$&^^$+_$^$&@%$#@>::ö#@{$&^*$@#$
(&()>:>{P$#@$&*(@#>>>{#@$&$^*(&*(%^+_$bez

Out of memory: kill process

Out of memory: killed process

Leszek Onak, *The Konami Code* (status edycji: RGB + trzeźwość)

WALKA Z NARKOTYKAMI JEST WOJNĄ
ZACHODU ZE WSCHODEM ORAZ ZACH
ODU ZE WSCHODEM

ŁAZIE
NKA JEST W CENTRUM

CHCE SIE WYMI
OTOWAC CYWILIZACJA

CZEKAJĄ NA MNIE ALE PRZECIEŻ
JA NIGDZIE NIE WYCHODZĘ I NIG
DZIE NIE WCHODZĘ WSZYSTKIE DRZ
WI SA OTWARTE WE MNIE

DOCIERAM DO KLASZTOR
U W ANAPURNA I GASZE PŁONAC
A ŻAGIEW W STOSIE

Roman Bromboszcz, *wszystkie-drzwi-sa.png* (status edycji: brązowy proszek)

Krzysztof Kornakiewicz – **Erdős**

1 Nie dość, że ćpun, to jeszcze Żyd. „Dobrze, że nie pedał" – dodałby ktoś, jednak i w tej kategorii Paul Erdős, bo o nim w tekście będzie mowa, również nie zalicza się do mainstreamu. Jeśli kogoś to obchodzi, całe życie spędził w aseksualnym celibacie. Ten debilny wtręt czynię tylko *pro forma*, by w gąszczu matematycznych pojęć, które spróbuję przedstawić poniżej, zawsze można było znaleźć punkt odniesienia. No i będziecie mogli mówić, że przeczytaliście dwa akapity, a nie jeden. Zawsze coś. Paul, jak większość wielkich postaci, w niejednej kwestii odbiegał od normy, często dość zabawnie realizując stereotyp ćpuna: nie dbał o pieniądze, gdyż niemal wszystko, co miał, przeznaczał na wspieranie innych matematyków czy fundowanie nagród (za jeden z pierwszych większych zastrzyków finansowych ufundował nagrodę im. swojej matki – jedynej kobiety, z którą posiadał intensywną relację emocjonalną). Nie dbał też o dom, wiodąc żywot tułacza, odwiedzając

aż do śmierci (np. na Kongresie Matematycznym w Warszawie) uniwersytety lub innych matematyków. Z jedną walizką klamotów i z reklamówką z supermarketu pukał bez zapowiedzi do drzwi znajomych, witając zaskoczonych (zazwyczaj pozytywnie) taką mantrą zamiast „dzień dobry": „My brain is open".

2 Jak każdy „szanujący się" konsument narkotyków i Erdős wypracował sobie własny, idiosynkratyczny język kodów, czyli własnych nazw często powtarzających się w życiu pojęć. Źródła milczą o tym, jak wołał na amfetaminę, jednak z jego ciekawszych idiosynkrazji warto wspomnieć, że dzieci nazywał epsilonami (w matematyce to bardzo malutka liczba używana głównie przy pracy z wyznaczaniem granic ciągów etc.), muzykę – hałasem, alkohol – trucizną, a osobowe przeciwności losu – faszystami, pośród których, mimo agnostycyzmu, naczelne miejsce zajmowała idea Boga – Naczelnego Faszysty. Bóg według Erdősa ukrywał najpiękniejsze matematyczne dowody w specjalnej Księdze, której strzegł przed ludźmi. Okrzyk: „This one is from the Book!" wydawał za każdym razem, gdy napotkał na swojej drodze śliczne rozwiązanie jakiegoś problemu. Zabawnych historyjek jest więcej: za wspomnienie w rozmowie o planach powrotu na, komunistyczne wówczas, Węgry został wydalony ze słynnego, wówczas tajnego, projektu Manhattan. Został też oskarżony przez FBI o szpiegostwo, gdy razem z kolegami postanowił dostać się na jakąś wieżę, by „kontemplować świat i rozmawiać o matematyce". W gęstej atmosferze intelektualnego napięcia Erdős z kumplami przegapili znak o surowym zakazie wstępu, a co gorsze – zrobili kilka zdjęć. Sprawa jednakże nie miała większych konsekwencji, śledztwo umorzono na skutek braku, *nomen omen*, dowodów.



Topsy Kretts - *Głowa Paula Erdösa w Budapeszcie jesienią 1992 roku* (CC-BY)

3 Erdős to nie tylko ćpun i dziwak, ale i matematyk, a matematycy, „jak wiadomo” (hehe), dzielą się na dwie kategorie: „rozwiązywaczy problemów” (*problem solvers*) i twórców twierdzeń (*theorem makers*), przy czym historia zwykle lepiej wspomina tych drugich jako tworzących podwaliny nowych koncepcji, a nie tylko zaspokajających aktualne potrzeby nauki. Erdős, pewnie nie z wyboru, przejawiał podejście utylitarne, które sprawiło jednak, że pozostawił po sobie większą spuściznę niż np. Goedel, Gauss czy Euler. Anglojęzyczna Wikipedia listuje pojęcia nazwane od jego nazwiska, m.in. 13 twierdzeń, a inna strona przedstawia jego hipotezy – jest ich ponad 20. Jako że jest to tylko Wikipedia, z pewnością mamy do czynienia z niewielką częścią całego dorobku. Jeśli znacie grę polegającą na unikaniu kontaktu z piosenką *Last Christmas* w okresie świątecznym, to próby edukowania się w dziedzinie matematyki dyskretnej (obejmującej – ogólnie mówiąc – zabawy na zbiorach skończonych) jest jej wersją *hard* i podobnie niemożliwa do przejścia bez kodów. Wpływ Erdősa na kombinatorykę, teorię grafów, mnogości czy liczb, a także wiele innych działów matematyki jest nieoceniony.

4 A Erdős „robiąc matmę” jechał na kodach. Z pejzażu możliwych używek przywiązała go do siebie amfetamina, którą regularnie zażywał od 1971 roku, z jedną wyraźną przerwą w którymś z miesięcy roku 1979. Wtedy to Graham, również wybitny matematyk, założył się z Paulem Erdősem (z koleżeńskiej troski, zapewne) o to, że ten przez 30 dni nie będzie zażywał amfetaminy, która obok kawy była jego podstawowym motywatorem do pracy. Dzisiaj kwota zakładu (500 dolarów amerykańskich) nie robi wrażenia, jednak wtedy jej realna wartość była około trzy razy większa. Erdős, oczywiście (?), zakład wygrał, jednak długo narzekał na niepowetowane straty poniesione przez matematykę. Sam stwierdził, że kiedy zażywał benzedrynę, jego głowa była pełna pomysłów, a podczas trwania zakładu kartki pozostawały białe (jak białe). Wspominam o tym zakładzie nie tylko ze względu na jego anegdotyczną wartość: zakłady lub tzw. „problemy otwarte” (matematyczne problemy, za których rozwiązanie matematycy oferują spore pieniądze)

były jego konikiem. Za rozwiązanie zadań lub udowodnienie twierdzeń oferował od kilkudziesięciu do kilku tysięcy dolarów (w zależności od powagi sprawy i jej trudności). Oczywiście, problemami otwartymi mogły zostać w tym przypadku tylko te, z którymi sam matematyk poradzić sobie nie mógł. A tych wcale nie było dużo.

5 Paul Erdős uważany jest za najpłodniejszego z matematyków – liczba jego prac przekracza 1500 artykułów napisanych wspólnie z pięcioma setkami współpracowników. Ta przepotężna nadprodukcja, żeby nie powiedzieć „naukowa grafomania”, choć wynikała trochę z trybu pracy (około 19 godzin dziennie) i wspomagania się amfetaminą popijaną kawą, stała się przedmiotem żartów, a koniec końców, weszła na stałe do naukowego folkloru. Jednym z jego elementów jest tzw. Liczba Erdősa – prosta funkcja, która każdemu matematykowi przyporządkowuje liczbę w zależności od tego, jak bliski był on współpracy z geniuszem. Paul posiada wartość 0, a każdy, z kim napisał pracę – 1. Osoba, która napisała pracę z kimś o liczbie 1, posiada 2, itd. W internecie można znaleźć narzędzia do przypisania sobie liczby Erdősa. To, że osób „z dwójką” jest niemal 10 tysięcy, pewnie o czymś świadczy. Większość wykładowców, z którymi miałem do czynienia podczas studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim (Wydział Matematyki i Informatyki), może pochwalić się wartością Liczby Erdősa mniejszą od pięciu. Koncepcja ta została powielona w kinematografii jako Liczba Kevina Bacona, odpowiedniki można znaleźć też w szachach, fizyce czy muzyce rockowej (*Black Sabbath Number*). Osoby, które nigdy nie napisały pracy naukowej, otrzymują nieskończoną/nieoznaczoną Liczbę Erdősa, ale sztywne reguły można naginać: amerykański sportowiec Hank Aaron udzielił autografu na tej samej baseballówce co Paul Erdős, dzięki czemu jego odległość od matematyka wynosi 1. *Science, bitch*.

6 Jaki konkretnie wpływ miały stymulanty na tego ekscentrycznego matematyka poza umożliwieniem mu długotrwałego, intensywnego wysiłku? Część osób uważa, że jedną z właściwości stymulantów jest zwiększenie (w oczach zażywającego) wartości i znaczenia wykonywanej czynności w stosunku

do jej wartości w rzeczywistości. Kluby z muzyką elektroniczną, które są chyba najpowszechniejszym miejscem spożywania stymulantów, obfitują w widoki ludzi, którzy pełni zaangażowania wymachują rękami i podskakują do zapodawanych przez DJ-a beatów. Erdős ruszał głową – i temu, że robił to w sensie symbolicznym, a nie dosłownym, pod konsoletą, matematyka zawdzięcza tak wiele. Inna właściwość amfetaminy – jej empatogenność – być może miała w swój udział we wspomnianej wcześniej ogromnej zdolności do kolaboracji z innymi naukowcami. Ponadto, we wspomnieniach Erdős jest opisywany jako wyjątkowo cierpliwy tłumacz, a także jako autor błyskotliwych i „dotykających głębi" pytań oraz właściciel specyficznego poczucia humoru. A kto nigdy nie był elokwentny jak amerykański prawnik, niech pierwszy wciągnie kreskę. (Oczywiście, zarówno historia nauki, jak i historie z sesji egzaminacyjnych pełne są innych przypadków naukowców czy studentów salwujących się kreseczką przed maratonami ostrej pracy, jednak to Paul jest jedynym znanym mi przypadkiem osoby, która robiła to i regularnie, i efektywnie. Bo przecież wszyscy znamy osoby, które mogą pochwalić się tytułem licencjata czy magistra właśnie dzięki inhibitorom wychwytu zwrotnego noradrenaliny i dopaminy.)

7 A jako *disclaimer*, bo tego typu szkice, w kraju takim jak Polska, jakieś muszą posiadać, przytoczę słowa Paula będące odpowiedzą na artykuł Hoffmana, w którym, między innymi, opisał jego narkotykowe zamiłowanie: „You shouldn't have mentioned the stuff about Benzedrine. It's not that you got it wrong. It's just that I don't want kids who are thinking about going into mathematics to think that they have to take drugs to succeed". (Nie wiem, czy ktokolwiek odpowiedziałby inaczej w 1987.)

MEFEDRON KOCHAM I NIENAWIDZĘ

Tripraport znaleziony (przez Julię Girulską)
na blogu Cichego Boba w serwisie Neuro Groove (licencja GPL)
http://neurogroove.info/trip/mefedron-kocham-i-nienawidze
(zachowaliśmy oryginalną pisownię)

Bohaterowie: Cichy Bob, Kucharz i chwilowo dziewczyna Cichego.
Substancje: Mefedron: 930 MG, Tramal: 200 MG, PineApple Express: 500 MG, Noctofer - 2 MG, 1 pigułka Amph-I-Bia ***
TripRaport ten zrodził się z postu w wątku "Tu nawijasz!", po prostu zmefiony miałem ochotę go napisać. Więc jest.

11:00

Rano, siedząc w łazience i grzebiąc po szufladach natknąłem się na parę paczek tramalu retard. Przypadkiem wpadło mi do ręki 100 mg tramadolu, w innej szufladzie zaś znalazłem 3,5 grama mefedronu wraz z 0,5 grama mieszanki "ziołowej" PineApple Express.

12:15

Więc zaczynamy: 30mg Tramadolu + 100mg Mefedronu donosowo = leżenie w wannie w cieplutkie wodzie przez 30 minut, muzyka spokojna i piękna z głośników,

delikatne CEV'y, problemy znikają, liczy się tylko ta nienarzucająca się przyjemność...

13:00

Przed chwilą zjedzone ok 130mg mefa + 70mg tramalu retard pokruszonego. A w oczekiwaniu na wejście kreseczka z 200 mg mefa.
O kurwa, zaraz wpada dziewczyna, a ja leżę na krześle kompletnie rozjebany z przyjemności... ^^
Jak coś, to nie ćpałem.

13:32

Spróbowałem wstać - ale mi miękko! Wszystko na co spojrzę, wygląda miękko, jest jakby leciutko rozmazane, krok mam miękki, czuję się, jakbym ważył tyle co piórko.
Serce coś dziwnie bije, dorzucam 0,5 noctoferu i idę się ogarnąć przed przyjściem dziewczyny.
Kocham być chorym!

14:45

Chuj, poszedł cały noctofer. Obraz lekko rozmazany, muzyka jest piękna a ja jestem tak cudnie znieczulony... Kurwa, kocham to. Kocham Was. Świat jest piękny. Przepraszam Gulhula, Kucharza, Sauda i moją kochaną dziewczynę, która to pewnie kiedyś przeczyta i będę miał przejebane... Choć nie, już wie, że ćpam i wychodzi z założenia, że jeśli się nie wjebię w nic to mogę ćpać ile chcę. Z tym, że ja podobno nie ćpam w ogóle mefa, a ostatnie 2 tygodnie cały czas odbywa się moja prywatna mefacja (słowo stworzone przez gulhula, pozdro! :D)... Choć nie, max 1 dzień przerwy miałem... Kurna, chyba mam problem z mefem. Czy Wy też potraficie w jednej chwili siedzieć w fotelu, a w drugiej ocknąć się z torbą mefa w ręku...? Pytanie do tych, którzy często go ćpają - czy jak wam się skończy już worek (bo nie wierzę, że ktoś ma przerwę gdy ma, tak jak ja, 5 gietów do przećpania) to bardzo was ciągnie do kolejnego? Jak często ćpacie?
Ludzie. Czy wy wiecie, że to forum jest jedną, wielką, genialną społecznością?

O, właśnie wstałem, jak cudownie się chodzi... Ciekawe jak ja zejdę do dziewczyny...?

15:05

Jak się okazało, przyszła dziewczyna (a to zła kobieta była, nie dała się zaprosić do domu ledwo stojącemu na nogach ćpunowi z wielkimi źrenicami, który tańczył w miejscu w rytm nieistniejącej muzyki) przynosząc dobre wieści, zdaję! (miałem problemy z jednym językiem, nieobecność na 95% lekcji - tak poza tym, to jestem dobrym i grzecznym uczniem) - radość z tego faktu jeszcze bardziej mnie podsyciła do przemefienia tego dnia. Zawsze jak jestem na mefie, to mam szczęście. Dziwne, co? Co dziwniejsze, dziewczyna nie zauważyła tego jak bardzo jestem naćpany (na szczęście przed zejściem do drzwi wytarłem nos przed lustrem, mefedron jest o tyle niefajny., że gdy obmyjesz nos po wciąganiu tak, by z wierzchu był czysty a proszek został w środku nosa to i tak po około 20 minutach masz białe otoczki wokół nosa, z deczka to przypałowe, więc polecam co jakiś czas ogarniać nos), stwierdziła nawet, że może i mam powiększone źrenice, ale dziś raczej nic nie brałem, bo "Ona umie to rozpoznać". No cóż, bywa.
Podczas rozmowy w tym pięknym, uroczo rozmazanym świecie o milionie barw zaobserwowałem coś dziwnego: stoimy przy drzwiach wejściowych, czule się całując (pomimo suchości ust, idzie dać radę), a te się otwierają i wchodzi Kucharz we własnej osobie! Kiwa szybko głową w naszym kierunku i luźnym krokiem udaje się do mojego pokoju... Żegnam się ze swym Szczęściem, zamykam drzwi i udaję do Kucharza.
Niech żyją piątki!

15:12

Serio dziś jest czwartek? Kucharz twierdzi, że tak. Łykamy po 0,5mg lorazepamu, tak w razie czego.

15:30

Łohoł! Dziewczyna oddaliła się z zasięgu, więc zaczynamy. Zaraz idzie donosowo po 200mg miksu (150mg - mef, 50mg -

skruszony Tramal Retard)

15:35-17:00

Poszło, jest taaaaaaaaaaaaaaak cudownie! Leżymy, chodzimy, tańczymy ze szczęścia... Wszystkie problemy odeszły w zapomnienie, muzyka sprawia mi ogromną radość, rozmowa z Kucharzem również. Zapisuję sobie w pamięci: mefić tylko z dobrym kumplem.

17:00

Odpalamy kadzidła, wracamy do naszej "bazy" (stolik przy oknie, arabskie pufy - ogólnie wygodnie i klimatycznie, można poczuć się jak w lecie, z okna piękny widok) nabijamy Pineapple Express do naszej grzybowej fajki i odpalamy. Dym kłębi się w pokoju mieszając z zapachem kadzideł, słońce rzuca piękne promienie na niego, leżymy, z ust wydobywa się nieskończoność słów zachwytu... Tutaj muszę zaznaczyć, że mieszanka ta jakoby "aktywowała" ponownie działanie mefa, choć lepiej spełniał się w tej roli u mnie SMOKE Vanilia.

17:22

Jako, że Kucharz nie ma ochoty na więcej mefa, Cichy Bob szykuje mu piękną niespodziankę. Jedna amph-i-bia*** rozpuszczona wraz z witaminką D i magnezem (pomyliłem tabletki) w spirytusie.
Pięknie odfiltrowane strzykawką z filtrem, przelane po równo do kieliszka i buteleczce po Ketonalu. Wypite, zalane raz jeszcze, wymieszane, wypite. Ach, ten smak spirytusu o poranku...

18:35

Piękny dzień, muzyka wciąż leci... Kilka godzin ućpania za nami, dziwna rozmowa z Toker'em, której nie pamiętam, ale wiem, że była dziwna (wybacz, napiszę jeszcze jak będziesz), muzyka która nas pochłaniała i CEV'y, normalne, dobre cevy (wyglądało to trochę jak jakiś pojebany film szykowany przez starego jaracza, który nie wie zbytnio jak i co robi, w dodatku co chwila tracąc wątek) sceny, widoki ciągle się zmieniały, przypominało to trochę grę

BloodRayne II (grał ktoś w to?) skrzyżowaną z The Simpsons. O dziwo, potrafiłem kierować postacią, lecz ciągle zmieniające się tło przeszkadzało w "grze". Wszystko co widziałem było dziwne, pojebane lecz piękne.
W pewnym momencie pod powiekami pojawiła się kolejna ciekawa wizja: skała, oderwana od Ziemii, z wystającymi z niej wieżowcami, portem, domami na jej górze, która wisiała, kręcąc się powoli, w pustej, szaro-brązowej przestrzeni, mijana co chwila przez mniejsze asteroidy...
Muszę nadmienić, iż po moim codziennym mefienu (już prawie 2 tygodnie...) wciągnięcie dawki powyżej 150mg powodowało lekkie rozmazanie i wyjasrkawienie obrazu, jakby był narysowany pastelami. Ludzie, nie wiem kto mówi, że mefedron to stymulant. Mieszanka mefa z tramcem (w małej ilości co prawda, nie jestem pewien, czy chcę poznać lepiej tą substancję) spowodowała powolne ruchy, opóźniony o sekundę obraz (typu wstajesz, a widzisz to z lekkim opóźnieniem), który miło się rozmazywał, tańczyłem, lecz nie odrywając stóp od ziemi, wszystko tak lekko i przyjemnie... Ale raczej nie energetycznie, radość czerpaliśmy z samego faktu ruchu, dopasowanego idealnie do dźwięków, z których każdy wchodził dokładnie w tym najidealniejszym momencie. Wszystko do siebie idealnie pasowało - perfekcja. O pięknie muzyki może mówić tylko ten, kto usłyszał ją pod wpływem psychodelików.

18:45

Niestety, niedługo 19, Kucharz musie się powoli zbierać, jeśli chce jeszcze dziś dotrzeć do domu...

18:55

Robię przepłuczkę pustego worka po 5'tce (mam jeszcze z 2,5 gieta...), nalewam wody do worka, mieszam i piję.
Jako, iż Kucharz już wychodzi i musi dotrzeć jak najszybciej do domu pomija możliwość spróbowania tego jakże dziwnego płynu.

19:00

Postanawiam odprowadzić go do przystanku, gdzie wsiądzie

w magiczną maszynę i odjedzie w swoją stronę. Idąc tak przyjemnym, powolnym krokiem, który dał mi niesamowitą radość i spokój, postanawiam przypalić jeszcze nabicie czy dwa Pineapple Express. Wyszły dwa, bo zawartość dilerki gdzieś znikła - "O man! Tu przed chwilą było palenie,gdzie ono jest?", po których to złapaliśmy miłą zamotkę i jeszcze większy chill. Idąc do przystanku dyskutowaliśmy na jakieś dziwne tematy, których nie pamiętam (ogólnie mało co pamiętam, a jednak tyle napisałem), lecz sądzę, że jeśli Kucharz (mniej jarania - pamięć lepsza) wróci to i te dopisze.

19:15

W końcu dotarliśmy na przystanek, pożegnania nadszedł czas. Pogadaliśmy chwilę i udałem się w kierunku domu.

19:30

Załadowałem 50 mg + osad z kieliszków pod język, tak dla choć lekkiego odżycia. Wciąż jest miło i przyjemnie, kończę właśnie pisać ten Trip Raport, a przecież dopiero co zacząłem...

21:43

Faza już prawie zeszła, po prostu skończyło się jej działanie. Wciąż jednak w ustach mam suszę a jedzenia nie mam zamiaru tknąć...

00:30

A jednak problemy z zaśnięciem są. Zarzuciłem noctofer a i tak zasnąć nie idzie. Do tego doszedł ból serca (lub nerwobóle), ból głowy, lekka arytmia...
Uważajcie z mefem, łatwo jest przesadzić.
Dodam jeszcze krótki opis efektów Kucharza, by ten TR był w miarę obiektywny:
"Dwie białe kreski ju na mnie czekają, lewa dziurka gotowa i poszedł rozkaz: sniffaj!
Zadanie wykonane, mija 10 minut i nic nie czuje. Hmm...
O kurde! Cały pokój wypełniła jasność, moja skóra przeistacza się w jedwabną, delikatną powłokę. Mijają kolejne minuty a moja euforia i szczęście rośnie wraz z nimi.

Szczękościsk i sahara w ustach uświadamiają mi,
że nie jestem wolną duszą lecz mam ciało, które potrzebuje miękkiego miejsca. Jednak to ciało czuje rytm bluesa,
a, ku memu zdziwieniu, potrafi nawet tańczyć do rytmu...
Muzyka wnika we mnie, teraz to ja jestem muzyką i ona jest mną. Moja rozmowność wzrasta do maksimum, mógłbym mówić o wszystkim i ze wszystkim. Brakuje mi tylko mównicy aby wygłosić przemówienie.
Wyjście na dwór uświadamia mnie, że ten świat ma też swoją ciemniejszą stronę, jednak jedyne co mi towarzyszy
przez cały trip to szczękościsk i uczucie odprężenia.
Kulminacyjny punkt mojej podróży następuje, gdy wchodzę do gorącej wody, wszystkie moje zmysły radują się,
a wszystkie pozytywne uczucia wciąż mnie wypełniają.
Jednakże to nie koniec mojej podróży, więc ruszam dalej...
Pozdro dla wszystkich podróżników i Cichego Boba!"

PODSUMOWANIE:

Mefedron jest substancją, która spodoba się miłośnikom MDMA czy innych substancji tego typu, lecz, jak wiadomo, nie zachęcam do używania substancji psychoaktywnych.
Jest on dobrą używką na imprezy, zażywany raz na jakiś czas, jednak codzienne zażywanie szybko doprowadzi do dość silnego uzależnienia psychicznego, a Wasze plany na ćpanie okazyjne zmienią się na plany ćpania "do końca worka".
A co po tym worku? Worek następny. I tak bez końca.
Mefedron jest jedyną substancją, którą równie kocham
jak i nienawidzę.



KATEGORIE

- Rumieńce
- Łzy
- Kamilla Cherry
- Pirogi
- Capstrzyk
- Mos Pan
- Porządna Szuba
- Komilflow
- Błoto Blend

Kollokacja (kryształ) 3g

Ocena Nie ma jeszcze oceny

Producent: **Rozdzielczość Chleba**





1wst-3kollkc-1,4korzenio-2ę-0,5ski-pi3e-4ńwski

Cena sprzedaży brutto:
0,00 zł

Szczegóły produktu

2-(kanon)-0-(1-literatury)-4-popierdolonej-tom#1

Gdy zostanie ukończona, *Kollokacja* (autor: Józef Korzeniowski Starszy, redaktor: Wojciech Stępień, kurator: Piotr Puldzian Płucienniczak) napocznie worek Kanonu ~Literatury Popierdolonej. Czekamy na dilera.

HSB

St Albert: *Microdots* (CC BY)
https://secure.flickr.com/photos/64092100@N02/5842553365

Drodzy Internauci, Drogie Internautki, psinki, kalkulatory oraz wozy strażackie, prezentujemy dwa teksty z niedokończonego cyklu Tomka Pułki pt. *Z dragami wśród siebie. Wykłady z narkonautyki*, który prowadził na niedoczytania.pl. „Prowadził" to zresztą za dużo powiedziane. Po ukazaniu się wstępu, musieliśmy, z pewnych względów, wstrzymać publikację kolejnego odcinka (szczegóły niech pozostaną zakopane na serwerze pocztowym gmaila).

Docelowo *Wykłady z narkonautyki* miały być odpowiedzią na zatęchłe i zdezaktualizowane *Narkotyki* Witkacego, których obślizgłe macki przyssały się do archaicznych statusów polskiej humanistyki i nie chciały (nie chcą?) ich puścić. W zamierzeniu „książeczka" miała składać się z kilkunastu rozdziałów, z czego każdy miał być poświęcony innemu środkowi odurzającemu. Niestety, nie udało się. Tomek zdążył usypać tylko dwie siarczyste krechy w postaci wstępu i tekstu o DMT, który w tym „Nośniku" ma swoją premierę. Rozsiądźmy się więc wygodnie w sali wykładowej (miejsca przy oknie są już zajęte), wciągnijmy je i cieszmy się fazą.

Leszek Onak

Tomasz Pułka

Z dragami wśród siebie

Wykłady z narkonautyki (0)

Skłamałbym (co namiętnie czynię), gdybym napisał, że „długo wahałem się” przed przyjęciem propozycji Leszka Onaka dotyczącej prowadzenia na odświeżonych Niedoczytaniach cyklu poświęconego narkotykom. Skłamałbym, bo koncept przyjąłem (w duchu) z wolą i ochotą, widząc rysującą się na horyzoncie perspektywę podsumowania moich doświadczeń na polu narkonautyki. Jakby nie było – obchodzę w tym roku dziesięciolecie aktywności ćpuńskiej, więc *résumé* jest na miejscu (na plaży, nad morzem), zwłaszcza że niebawem ukaże się *Encyklopedia polskiej psychodelii* Kamila Sipowicza, w której to ma się znaleźć skromny rozdzialik poświęcony mojej osobie [Tak, znalazł się, o czym więcej w wieńczącej ten „Nośnik” recenzji książki – przyp. red.]. Biorę się zatem za szpachlę i gładzę ręką cegiełki notatek (to obok siebie?).

Zacznijmy od technicznych kwestii (już zaczęliśmy, Tomku): jako że pisząc te słowa (w Wielką Niedzielę) przebywam na przepustce świątecznej w domu rodzinnym, mogę sobie w końcu pozwolić (na-

prawdę?) na nakreślenie formuły, bowiem ostatnie tygodnie (miesiące) spędzam w placówkach psychiatrycznych, po zaserwowaniu sobie fazy życia, czyli umierania. Stąd uprzedzenie (a fe!), że wykłady – bo zaplanowałem sobie ten cykl w formie wykładów – poświęcone poszczególnym używkom, mogą mieć chimeryczną regularność. Niemniej będę się starał, by co jakieś dwa tygodnie pojawiała się tekstowa pogadanka. Natomiast ten konglomerat słów jest jeno wprowadzeniem do właściwej treści zajęć (miejsc?), jakie będę tutaj prowadził. Wykłady będą miały wyłącznie informatywny charakter; liczę, że obędzie się bez klauzuli: „Nie róbcie tego w domu".

Jak mawia mój Mistrz i Nauczyciel, od którego uczyłem się podejścia do fachu: „Narkotyki stanowią modelowy przykład nieskażonej znaczeniem inspiracji", z czym zgodziłby się na pewno i Benjamin, i Eliade. Towarzysząc rozwojowi cywilizacji od wieków – ble, ble, ble. „FAZA PANY", co ukułem z moim Mentorem, a co chyba se ostatecznie wytatuuję pod knykciami, mimo trwającego od kilku miesięcy zwrotowi ku trzeźwości.

Narkotyki potrafią wiele zabrać, ale – jeśli dysponujemy otwartym umysłem – przy relacji zwrotnej. Zresztą, strata jest pełnoprawnym doświadczeniem, choć „pełnoprawność" to temat na osobną broszurę. Ja sam zacząłem stosunkowo wcześnie przygodę z mąceniem (i klarowaniem) stanu postrzegania i gdybym miał rozpisywać plusy i minusy, zaroiłoby się na kartce od krzyży (był kiedyś taki rzut pixów – „żółtych

krzyży”). Wiele przekurwiłem, ale gdyby mnie zapytać o to, czy żałuję, odkrzyknąłbym: „Nie!” i usiłowałbym stanąć na rękach, co skończyłoby się dotkliwym upadkiem.

Próbowałem policzyć ilość spożytych substancji, ale zrozumiałem przy trzeciej ręce, że nie ma to sensu, że lepiej poddać się *flow*, a tutaj tylko zaznaczyć, że będziemy się poruszać głównie względem relacji psychodeliki – stymulanty – depresanty, kładąc nacisk na mój konik czyli na psychodeliki. Na pewno szczegółowo omówimy marihuanę, LSD-25, LSA (powoje), DOC, DOB, psylocybinę z łysiczek + spektrum grzybów „orientalnych”, salvię divinorum, 4-HO-MET, 4-Aco-DMT, 2C-E i inne smakołyki, że pozwolę sobie wymienić tylko osnowę fabularną. Będę się starał omawiać substancje pod kątem działania na moją podmiotowość, nie zaś zagłębiać się w kulturowe uwikłania. Problem może się pojawić tylko przy destylowaniu doświadczenia dotyczącego pojedynczego dragu, bo bardzo lubię mixy, i w ogóle kolektywizm w działaniu.

Jeszcze tylko kwestia znudzenia: pisałem już na Niedoczytania felietony pt. *Lutowanie wełny* i nawet zbierałem za nie piątki, ale zwyczajnie mi się po sześciu kawałkach to odwidziało. Mam nadzieję, że tym razem kontakt tekstualny z materią, która skutecznie zabijała mi nudę przez ostatnich dziesięć lat, nie sprokuruje rychłego zaniechania pisania. Chyba że mielibyście się nudzić. To proszę walić śmiało! Tylko nie po kablach!

kwiecień 2012



Tomasz Pułka

Z dragami wśród siebie

Wykłady z narkonautyki (1) DMT

Dla Kuby Nowary

Zacznijmy z grubej rury. Notabene: gruba rura jest potrzebna przy spożyciu DMT. Bez grubej rury się nie obejdziemy (właściwie) z tą substancją, co to oferuje nam kosmogenicznego tripa. Och, ile to podań i legend na temat DMT, i płaszczyzn, jakie organizuje! Właśnie: „organizuje”, pod żadnym wypadkiem nie: „dezorganizuje”. Faza powstała z wypalenia dawki DMT jest samozwrotną zapadnią, wobec której „tradycyjny” system pojęć ma się tak, jak zardzewiała szyna do hiperbolicznie przedstawionego hologramem motyla. Pisanie o DMT jest nie tyle „podwójnie niewdzięczne”, jak by to chciała konstrukcja frazy unaocznić, co wielopiętrowo zwodnicze. Jak bowiem opowiedzieć o krainie ekscesu tak głębokiej i wartkiej, że wobec niej (fazy) język jawi się

jako prymitywny kwantyfikator? Spróbujmy festiwalowego wprowadzenia w klimat bani – myślę, że ten teledysk da Wam choć namiastkę wyobrażenia:

http://www.youtube.com/watch?v=NhheiPTdZCw

O właśnie, mam! Abstrahując od estetycznej natury halucynacji wzrokowych i słuchowych (a właściwie to „parahalucynacji" – postrzeganie konwencji zupełnie nie zdaje egzaminu po zażyciu chmury DMT), chodzi o wyobraźnię wyobrażeń: cały trip to monumentalnej konstrukcji wyobrażenia o wyobrażeniach wyobrażeń w wyobrażeniach wyobrażania. Jak zapowiedziałem we wstępie do wykładów, nie będę się rozwodził nad kulturowymi i technicznymi stronami opisywanych narkotyków – o fasadowej pozycji DMT w narkonautyce możecie przeczytać w internecie (niezawodne forum hyperreal.info). Nie liczcie też na wskazówki dotyczące spożycia!

Dimetylotryptamina na pewno nie jest substancją dla laików. Ogrom bani w majestatyczny sposób paraliżuje zmysły; zresztą, relacja pomiędzy bodźcem a receptorem zostaje na czas fazy zlikwidowana. Oto znajdujemy się w najbardziej czułych partiach doświadczania wnętrza, choć dychotomia wnętrza i zewnętrza zdaje się wulgarną ułudą: jak patrząc w kąt pokoju jesteśmy w stanie wykoncypować wklęsłość i wypukłość (kształtu fragmentu bryły), tak metodologiczne ujęcie natury naszej osobowości jest równocześnie konglomeratem znaczeń, jak i szemrzącym strumykiem (ujęcie wody).

Doświadczenie psychodeliczne po DMT nie jest, jak np. w przypadku LSD, ufundowane na wykładni „uczenia się struktury". Struktury nie ma, chuj wie, gdzie baluje, nie będziemy za nią

dzwonić, bo na tej imprezie jest pustą kretynką. Pustym idiotą jest także czas; jak pisał najwybitniejszy z młodych poetów: „Kresem wiedzy, niezależnie od istniejącego dyskursu, jest wiedza o nieistnieniu czasu”. Po DMT uświadamiamy sobie, że nie tyle „czas nie istnieje”, co „czasu nie ma”. Ten równoważnikowy tryb jest na miejscu, bo czasowniki względem tripu stają się bezużyteczne jak prezerwatywa (?, !). Ostoi nie znajdziemy też w gamie rzeczowników; przymiotniki to tusz do rzęs. Zaczynają natomiast znaczyć zaimki. Pozorna tautologizacja przez indagację prowadzi nad brzeg szumiącego sensem morza. Morze wylewa za burtę wyobraźni.

Zrobiłem Wam chrapkę na nieznane? To spójrzcie na plastyczną relację z samej tylko sfery wizualnej:

http://www.youtube.com/watch?v=1Mb3mssgPhw

Zrobiłem Wam chrapkę na wizualki? Oj, nie jest tak różowo! O ile haluny przypominają instrumentarium znane wszystkim (?) z palenia szałwii, to tym razem stoi za nimi prawdziwie rozpierdalająca antyfabuła: jak wyjęty z łona obserwujesz na pozór nierozumnym spojrzeniem odcięcie pępowiny, twój system pojęć nie jest wsparty o laseczkę komunikatywnego języka, wszystko, co doznawalne, jest pierwsze i dziewicze, a zarazem przedustawne i odwieczne, pieni się – czym? Sensem?

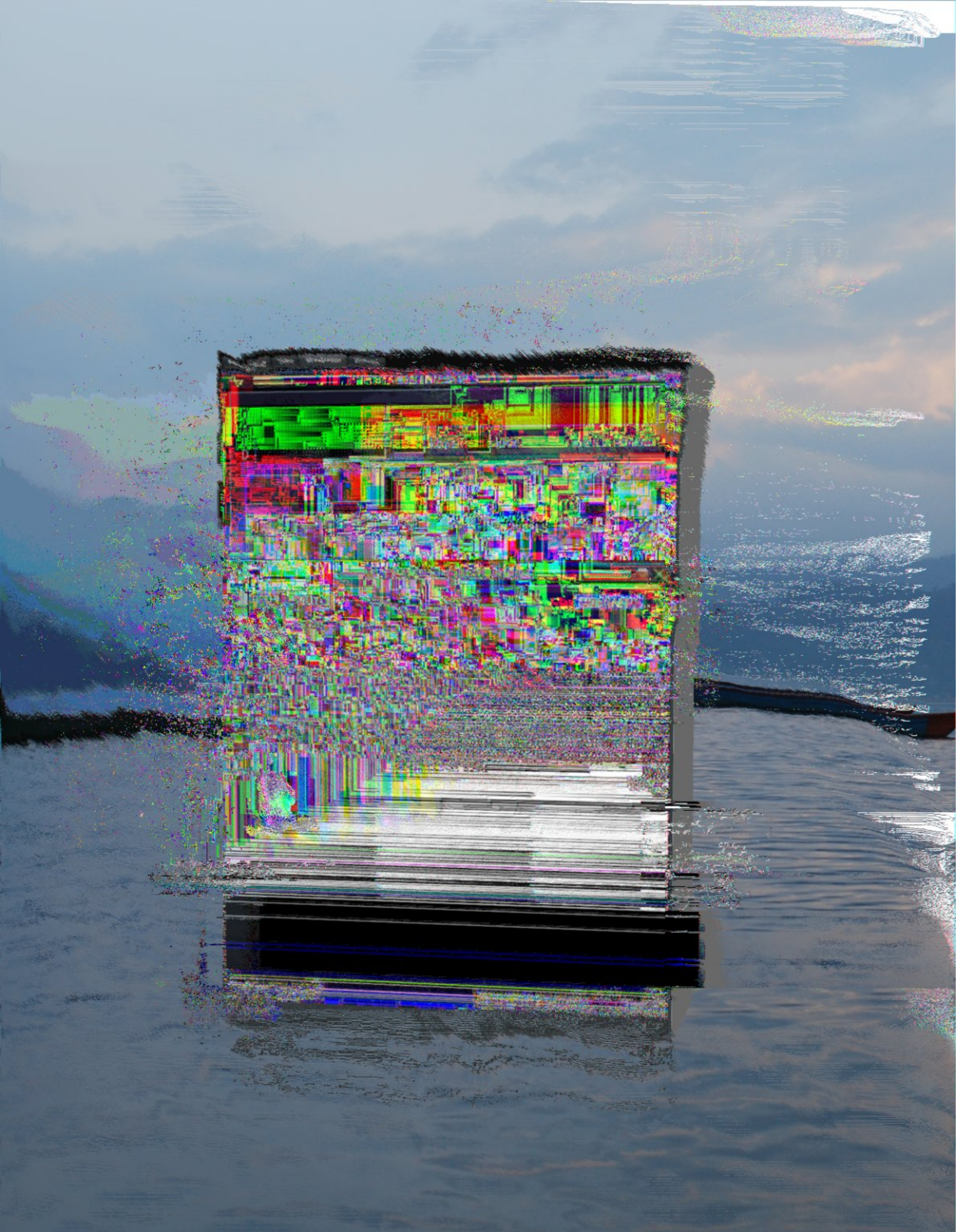
Jestem wyznawcą teorii powszechnego zbawienia poprzez uwolnienie – wraz z chwilą śmierci – wszystkich neuroreceptorów w mózgu odpowiedzialnych za fazę. Niebo wyobrażam sobie gdzieś we wspomnianych rejonach. Poza przyjemnością i nieprzyjemnością. DMT występuje w mózgu, jest siostrą kartezjańskiej szyszynki; doświadcze-

nie związane z przedagonalnym stanem wiążę („krawaty wiążę, usuwam ciąże”) bezpośrednio z tripem, jaki zafundowałem sobie z dimetylotryptaminą.

Na koniec kilka słów o celowości tej bani. Otóż zyskujemy absolutne i całkowite rozwianie złudzeń co do natury rzeczy. Zwyczajnie: świat już nie jest taki sam, jak był przedtem. „Oczyszczenie” to dobre słowo, choć swoją zawartością (sic!) zubaża. Kiedy zjadłem w liceum pierwszego kwasa, przeczuwałem, że już niczego się w życiu nie będę „bał”. Po DMT jestem pewien. Jak w tej impresji zen:

Dzikie gęsi nie mają zamiaru
rzucać swego odbicia.
Woda nie myśli
o zatrzymaniu ich obrazu.

kwiecień 2012



Leszek Onak, *Winamp Visualisation. Drugie przyjście*

Grafika powstała po powrocie z wystawy Plakatów zmiękczonych płynem do płukania Cocolino i zawieszonych przez Szanowną MaDaMe.

„Gdy zmarł mój przyjaciel, Bartek, przyszedł do mnie kolega i przyniósł LSD, najmocniejsze ze wszystkich. Ten kumpel leczył się psychiatrycznie i poczułem, że lepiej byłoby, gdyby tego nie zjadł. Dlatego wyrwałem mu to z ręki i zjadłem wszystkie. Nie wiem, ile tego było – sześć, siedem. Pierwszy raz dotknąłem piekła. To nie jest metafora. Okazało się, że te tabletki LSD były przywiezione przez jakichś buddyjskich mnichów i solidnie »omantrowane«. Nie wiem, jak to jest możliwe, ale doświadczyłem tego, że gdy je zjadłem, ściągnąłem na siebie wszystkie te »omantrowane« złe duchy. Poczułem, że zaczęły we mnie wstępować jakieś obce siły. Czułem się tak silny, że mógłbym wyrwać kaloryfer. Były dziwne sytuacje: wszedł do mnie koleś, stanął w drzwiach, a ja do niego mówię: »Nie zrobię tego, o co prosisz«. On totalnie zaskoczony: »A skąd wiesz, o co chcę cię poprosić?«. Miałem jakiś dar jasnowidzenia. Poczułem, że zaatakowały mnie złe moce. Byłem wcześniej – gdy za komuny uciekałem przed wojskiem – w szpitalu psychiatrycznym. By nie iść do wojska, udawałem świra. Zobaczyłem wtedy ludzi chorych na schizofrenię, przeżywających straszne lęki. Gdy zażyłem narkotyki, dostrzegłem, że mam te same objawy. Ja – twardziel i kozak – zacząłem się potwornie bać, sparaliżował mnie lęk. Miałem świadomość, że nikt nie jest mi w stanie pomóc. Wiedziałem jedno: albo umrę, albo zwariuję. Wtedy po raz pierwszy odczułem, że mam duszę. Czułem, że stawką nie jest moje ciało, ale moja dusza. I w tym momencie zobaczyłem słowo »Jezus«, które spostrzegłem jak taki krótki błysk. Chwyciłem się tego jak tonący brzytwy i z głębi serca zacząłem krzyczeć: »Jezu! Ratuj mnie!«. I dosłownie fizycznie odczułem, jak Jezus podał mi rękę i wyciągnął mnie z tego diabelskiego kręgu.”

Dariusz „Maleo” Malejonek, źródło: info.wiara.pl

Marcin Ostrychacz

Na skrzydłach bromoważki

Drużynie Papierka

Wiersz otwiera oczy.
Wstaje.
Zakłada porannik, na którym się pasą
polarowe renifery.
Jest poświcie, niebo bez poszewki.
Tym razem pogodynek miał rację.
Przygoda otwiera ramiona
na oścież.

Wiersz ciągnie do kuchni. Otwiera lodówkę. Wyciąga
celofanowe tabernakulum.
Wiersz wysnuwa język. Amen.

Pole widzenia składa się z tysięcy tęczowych fraktali.
Przechodziliśmy pod pulsującą pajęczyną,
kiedy mignęła multiplikowana dymówka,
a liść otworzył owalne oko i łypał
na chitynowe ścigacze na aerostradach robactwa.
Ostra trawa starorzecza odciskała się na policzku.
Wiersz mówił: *kora rogalińskich dębów*
jest mądra kora Ozyrysa, do którego szliśmy.

Oko układu purpurowo gasło za lasem,
przydrożna mapa nie przestawała pulsować.
Tego filmu nie da się wyłączyć. Ognisko
będzie ojcem i matką.

Kwaśne safari. Strzelanie do halunów. Lato
od strony sporyszu i powidoki wiosek
płonących na stosach. *Tego nie zabierze*
nawet pan, panie komorniku.

status edycji

DOB





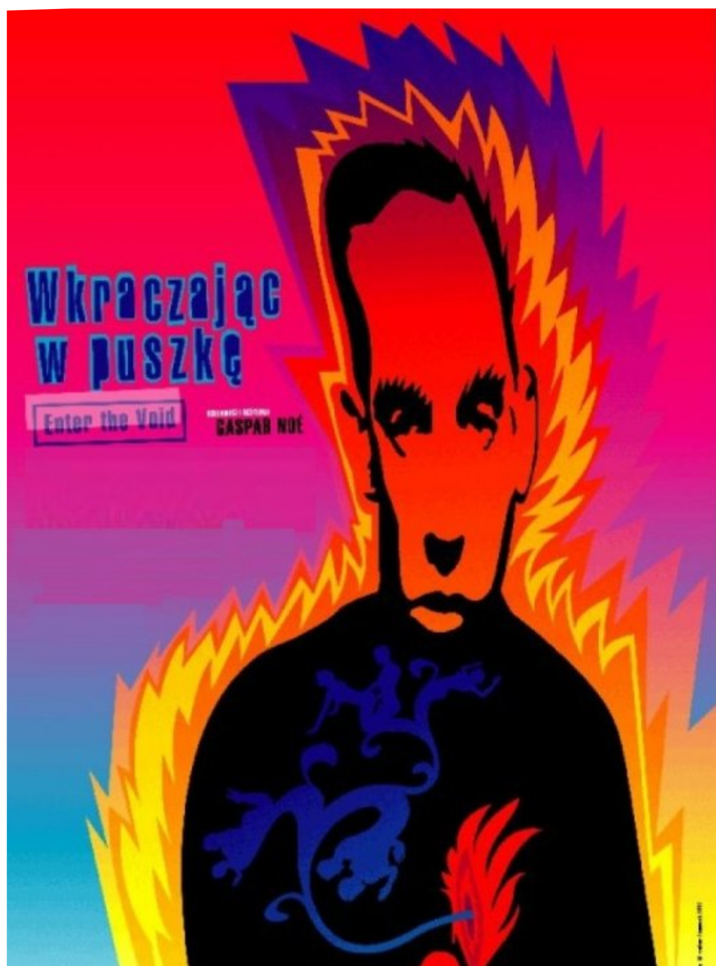
Z Adamem Sokołem
rozmawia Julia Girulska

WKRACZAJĄC W PUSZKĘ

Nie każda znajomość nawiązana w pociągu musi kończyć się trzydniowym delirium po ataku Antosia Usypiacza, sławnego na początku wieku złodzieja kolejowego, który grasował po śląskich składach. Są też spotkania nagradzane mocną i dobrze opowiedzianą historią, snutą w czarnej dupie przygranicznego Zwardonia nad piwem i zupą. W jedynej otwartej gospodzie, w oczekiwaniu na ostatni pociąg do Katowic, dowiedziałam się, co łączy demony i puszkę ze sprężonym powietrzem. Dziewiętnastoletni Adam Sokół z krakowskiego Prądnika Białego, który zdecydował się wyznać swoje mroczne grzeszki i opowiedzieć o krótkim, ale jakże brzemiennym w demoniczne skutki romansie z „puszką", wszystko mi wyjaśnił. Sprężone powietrze to popularny wśród gimnazjalistów sposób na legalną i niedrogą banię. To także sposób, aby banię sobie zryć. Jak mawiał wieszcz, zagryzając podpłomyk kabanosem: „Gdy rozum śpi, budzą się demony".

Julia: Kiedy za pierwszym razem opowiadałeś mi o swoich doświadczeniach narkotykowych z „puszką", to – szczerze mówiąc – nie wiedziałam, o co chodzi. Wyobrażałam sobie, że to jest jakaś farba. Czy „puszką" nazywasz gaz do zapalniczek?

Adam: Nie, to nie jest gaz do zapalniczek, chociaż on działa tak samo, tylko że nie jest sprężony. Puszka to sprężone powietrze używane do czyszczenia komputera. Gdybyś próbowała wyczyścić wiatrak od procesora odkurzaczem, to odkurzacz wytwarza pole elektrostatyczne, które potem zostaje na plastiku, i jak włączasz komputer, pali Ci się procesor. Dlatego używane jest właśnie sprężone powietrze, bo dmuchniesz i kurz wyleci.



Taki jeden kolega z Huty, tak się w sumie zaczęło, przyjechał do mojego kumpla; piliśmy, a potem on mówi, że ma coś takiego, sprężone powietrze; że jak się je wciągnie i przytrzyma w płucach, to „tak śmiesznie jest", no nie? A że byliśmy tam gdzieś w osiem osób, no to wszyscy sobie spróbowali. I na początku efekty były takie, że tylko było gorąco w tyłek, ogólnie śmieszne uczucia i dziwny własny głos, jak u demonów na filmach.

Julia: Jak w *Egzorcyzmach Anneliese Michel*?

Adam: To był taki głos, że byś się posikała w majtki, jakbyś go usłyszała. Tak to mniej więcej brzmiało.

Julia: Ile miałeś wtedy lat?

Adam: Gdzieś z piętnaście, szesnaście.

Julia: Jak to przyjmowałeś?

Adam: Zacząłem się tym bawić z grupą, poczekaj, żeby Ci nie skłamać, siedmiu osób. Z czego tylko ja i drugi kolega weszliśmy na wyższy poziom.

Na początku było tylko śmiesznie, wszystko trochę rozmazane, jakby dużo człowiek wypił, ale ja zacząłem to traktować bardziej jak religię, powiązałem z mistycyzmem. W pewnym momencie zacząłem już wchodzić w inny świat, w inny wymiar w ogóle. Nie było tak, że coś mi się wydawało. To było naprawdę. Ja, na przykład, idąc ścieżką do swojego domu, widziałem na opuszczonym polu rozwalone szkielety, gnijące mięso.

Julia: Czyli miałeś halucynacje przy otwartych oczach?

Adam: Nie wiem, czy to były halucynacje. To było tak realne, że ja tego mogłem dotknąć, czułem smród gnijącego mięsa.

Julia: Powiedz, jak aplikuje się puszkę? Za pomocą worka?

Adam: Masz puszkę, jak farba w spreju, nie? Wkładasz do niej rureczkę, podgrzewasz, żeby było dobre ciśnienie, i wchłaniasz: szuuu! Jak masz całe płuca – przytrzymujesz. Pół minuty – nic, minuta – nic, po półtorej minuty zaczyna się coś dziać. Jak przekroczysz próg pięciu minut bez oddychania, mózg obumiera. Miałem taką sytuację dwa razy. Jakby Ci to opowiedzieć, żebyś zrozumiała... Jak widzisz, to znaczy patrzysz oczami, to masz tyle [zakreśla szerokie pole widzenia], a ja widziałem tyle [pokazuje wąski wycinek pola widzenia przyciskając dłonie do skroni]. To był okrąg o średnicy pięciu-sześciu centymetrów. Wtedy mnie kumpel obudził i zacząłem oddychać. Bo ja specjalnie wstrzymywałem oddech, żeby mieć lepszą fazę. Wpłynęło to dość negatywnie na mój mózg i moje nerwy.

Julia: Na początku wciąganie puszki odbywało się głównie na imprezach?

Adam: To nie były imprezy. Myśmy jechali do Krakowa, kupowali puszki, siedzieli na przykład we dwóch, we trzech, przez trzy godziny wciągając po jednej puszce na głowę. Wyglądało to jak sesje narkotyczne.

Julia: Nie mów.

Adam: Jakby trzech kolesi heroinę wzięło.

Julia: Po mieszkaniach czy na ławeczce?

Adam: Przeważnie u kumpla w domu. Chociaż zdarzyło mi się raz stać na mrozie, było minus 25 stopni, i staliśmy tak z kumplem w jednym miejscu, nie ruszając się, na środku ścieżki, kurwa, przez półtorej godziny. Nie było w ogóle czuć zimna, nic.

Julia: Jak długo utrzymuje się faza i na jak długo starczy puszka?

Adam: Puszka o pojemności 300 ml wystarczała mi na cztery godziny wciągania. Wciągasz, masz przez chwilę fazę, wypuszczasz, wciągasz jeszcze raz, wypuszczasz, i wciągasz raz jeszcze. Tylko że to nie było do końca

zdrowe, jeśli chodzi o umysł. Szkoda, że nie wiedziałem tego wcześniej. Zgodziłem się na ten wywiad tylko dlatego, żeby przestrzec innych. Rozumiesz, no nie? Nie chcę, żeby ktoś popełnił ten sam błąd co ja.

Kilka razy miałem fazę, że umieram – i to z różnych przyczyn. Na przykład, ciągnę puszkę, jest jak zwykle, tak jakbym tutaj był, tylko widzę, że z ust wypuściłem opiłki metalu, i czuję, że mnie krew zalewa, że rozwaliło mi płuca, że umieram. Umieram tak przez dwie minuty. Po dwóch minutach dopiero mnie kumpel obudził. To było naprawdę niefajne.

Julia: Po jakim czasie zacząłeś mieć złe fazy?

Adam: Po miesiącu wciągania. A puszkę wciągałem przez trzy miesiące, dzień w dzień. Rzadko sobie odmawiałem, no bo kosztowała piętnaście złotych. Piętnaście złotych za cztery godziny przyjemności? To znaczy przyjemność to była na początku.

Julia: I szybko minęła?

Adam: Nie, właśnie chodzi o to, że faza była większa, im więcej się wciągało. Tylko że potem zaczęło mnie to przerażać, przerastać. Tak jak już Ci mówiłem, że w siedem osób żeśmy to wciągali, ale na wyższy poziom weszliśmy tylko ja z kumplem.

Julia: Wyższy w jakim sensie? Uznałeś, że w puszce kryje się jakaś metafizyka? Nieznany wymiar?

Adam: Zacząłem się w to zagłębiać, pojawiały się dziwne myśli w głowie. Kiedy im ulegałem, dostępowałem różnych dziwnych mocy. Na przykład, zawarliśmy taki niby pakt z kumplem, pakt krwi czy coś takiego. Ledwie pamiętam, bo w tamtym momencie byłem już tak porobiony puszką, że z trudem kojarzę fakty. Myśmy zawsze ciągnęli we dwóch z Lutkiem. Kiedyś taka myśl mi zaświtała: „A może byś wytrenował Lutka?”. I wiesz, wyciągnąłem rękę, i nagle w pokoju pojawił się skarłowaciały, jakby wymęczony demon. Nic nie mówiłem, tylko wyciągnąłem rękę i ją opuściłem. Lutek, mój kumpel, był oddalony o jakieś trzy metry. Widziałem, jakby się podniósł na chwilę o centymetr, jakby lewitował nad ziemią. Potem opadł, obrócił głowę, a oczy miał całe czarne, i w ciągu pół sekundy przemierzył te trzy metry, chwycił demona za szyję, podniósł go, skręcił mu kark i rzucił o ziemię. Myślałem, że to była tylko faza, ale po całym zajściu, jak już się skończyły puszki, pytam się: „Ty, Lutek, a Ty nie miałeś przypadkiem takiej fazy, że zabijasz demona?”. – „No miałem. Takiego skarłowaciałego, całego



czarnego, no nie?". – „W którym miejscu to zrobiłeś?". Pokazał mi dokładnie, w którym miejscu. Oboje byliśmy świadomi. To nie była halucynacja.

Julia: Może zaistniała między Wami jakaś forma telepatii? Halucynacja zbiorowa?

Adam: Były gorsze sytuacje. Lutek lubił sobie materializować rzeczy i sprawy, które miał w głowie. Potrafił na przykład zmaterializować sobie na chwilę w swoim pokoju trzy dowolne kobiety. I one dla niego tańczyły, jak na prywatnym przyjęciu. Kiedy indziej przypadkiem zmaterializował sobie jakiś inny byt. „Spierdalaj, co Ty ode mnie w ogóle chcesz?" – mówi, patrząc się w nicość. Ja tego, na co patrzył, nie widziałem. W pewnym momencie jego łóżko przesuwa się o pół metra do przodu. Myślę sobie: „Ale mi się pierdoli", i idę do ubikacji, nie? Przemywam twarz, wracam, a Lutek dalej leży na łóżku przesuniętym o pół metra. O co chodzi? Co się w ogóle stało?

Julia: Jak Lutek odniósł się do sytuacji?

Adam: Powiedział, że widział demona podobnego do tego poprzedniego, tyle że tym razem był większy i silniejszy.

Julia: Sądzisz, że dzięki tym środkom Twojemu umysłowi udało się dotrzeć do sfery nieosiągalnej dla większości ludzi, choćby ze względu na fizjologię mózgu?

Adam: Tak, jest pewna bariera. Ja tę barierę pokonałem praktycznie w pierwszym miesiącu wciągania. To była bariera, którą dla normalnych ludzi jest śmierć. Ja umierałem wielokrotnie. Po wielokrotnym „umarciu" ta bariera znika, człowiek jest już poza limitami. Jakby był praktycznie Bogiem.

Julia: Nie bierzesz w ogóle pod uwagę możliwości, że te doświadczenia miały miejsce w Twojej głowie, w wyniku procesów chemicznych zachodzących pod wpływem narkotyku, a w gruncie rzeczy, trucizny?

Adam: Takich ludzi jak ja jest bardzo mało. Pytałem wszystkich, których znałem, czy mieli kontakty z puszką, no i okazywało się, że niektórzy mieli, ale nikt nigdy nie wyszedł poza pierwszą fazę. Nikt nie był w stanie wznieść się na drugą. Nie mówiąc już o trzeciej.

Julia: Jak wyglądał zwał po puszce?

Adam: Zwałów nie było. Kończyłeś ciągnąć – rzeczywistość. Nie było żadnego zejścia, inaczej niż po amfetaminie, że jak się wychodziło z fazy, to jakbyś się teleportował do innej rzeczywistości.

Julia: W filmie *Wkraczając w pustkę* pokazano doświadczenia dysocjacyjne po narkotykach. Mam tu na myśli: doświadczenie śmierci, wejście z ciała, czyli eksterioryzację; depersonalizację, czyli chwilowy lub długotrwały brak świadomości; dezorientację i halucynacje. Jeżeli występują wszystkie te objawy, mamy do czynienia z doświadczeniem *keyhole*, czyli dziurki od klucza, związane zwłaszcza z przyjęciem zbyt dużej ilości ketaminy, ale z tego co opowiadasz, Twoje doświadczenia były podobne.

Adam: Nie wiedziałem, że nazywa się to dysocjacja. Jak dysocjacja jonowa? To było tak: przyszedłem do szkoły gdzieś na godzinę dziewiątą, miałem ze sobą puszkę, i przez pierwszą godzinę chemii cały czas wciągałem...

Julia: Na chemii? To dość ironiczne.

Adam: Straszyłem nauczycielkę od chemii, bo po puszce idealnie imitowałem głos demonów. Propan-butan jest dość gęsty, no nie? Więc jak zacząłem coś mówić, a wcześniej odpowiednio przytrzymałem w gardle gaz, to normalnie... głos demona. Nie było żadnej różnicy. Nauczycielka strasznie się bała, co mnie trochę śmieszyło.

Potem mieliśmy dwie godziny WF-u. Powiedziałem, że nie mam stroju, pierdolę, nie ćwiczę, no nie? Siadłem sobie na ławce między jednym a drugim kumplem, no i niby wszystko fajnie. Wciągam sobie puchę, a kumpel, co siedzi akurat obok mnie, wiedział, co to jest pucha. Nie wiem zresztą dlaczego, ale nazywał to „parzeniem". Wciągam, wciągam, w pewnym momencie zamykam oczy, a jak je znów otwieram, to już jestem nad sobą i patrzę się z góry na siebie, że taki „zwiśnięty" leżę, jakby samo mięso. Wtedy kumpel zaczyna mnie szturchać. No i ja tak se myślę, co on mnie szturcha, pojebało go? I jeb go w czaszkę od tyłu. Reset, nie? I widzę, jak on upada na ziemię, i za chwilę mam ciemno przed oczami. Wybudzam się, patrzę, a ten kumpel rzeczywiście leży na ziemi. Dlaczego? Takich sytuacji było co najmniej ze trzy.

Julia: Na forum Hyperreala pewien użytkownik wyszczególnił cztery etapy fazy propanu-butanu. Czy chodzi mu o cztery poziomy zaawansowania, czy cztery rodzaje fazy płynącej z puszki?

Adam: Cztery poziomy, tak, to jest możliwe.

Julia: Ten koleś napisał, że propan-butan to stymulant, bardzo silny obok fety, metamfetaminy i kokainy. Stymuluje do gadania, do nadmiernej aktywności.

Adam: Na początku. Przez pierwsze dwa-trzy tygodnie tak jest.

Julia: Na drugim poziomie jest psychodelicznie.

Adam: Następne półtora miesiąca.

Julia: Potem jest poziom dysocjacyjny, gdzie występują doświadczenia, które wymieniłam w kontekście filmu Noego. I czwarty poziom – deliryczny…

Adam: Powiem Ci tak: do czwartego poziomu nie doszedłem, bo na poziomie trzecim stwierdziłem, że albo odstawiam puszkę i żyję, albo nie odstawiam i nie żyję. Zresztą potwierdzili to lekarze, bo ja potem miałem przez półtora roku naprawdę przerąbane. Jakbym brał cały czas ketaminę i ciągle miał złe fazy. To tak wyglądało.

Julia: To, co zostało pokazane w *Enter the Void*, to faza po DMT, substancji naturalnie występującej w roślinach Ameryki Południowej, a także w organizmie ludzkim – z tym że w tym przypadku jest jako psychodelik nieaktywna. DMT to „podstawowy" szamański narkotyk, z pomocą którego amazońscy Indianie doświadczają wizji, oraz główny składnik ayahuasci. Sam reżyser *Enter the Void*, Gaspar Noe, pojechał przed zdjęciami do Peru, żeby jej spróbować. Na ile to, co przeżyłeś, można przyrównać do doświadczenia *keyhole* albo do DMT, które jest pokazane w filmie?

Adam: Porównajmy pewne dwa filmy, żebyś dobrze to zrozumiała. *Enter the Void* to jest normalny przypadek, a mój przypadek to jest *Constantine*, zwłaszcza jak bohater wchodzi do piekła. Widziałaś to?

Julia: Nie.

Adam: Nie oglądałaś *Constantine*? To co Ty oglądałaś? W każdym razie, jest tam scena, w której bohater musi znaleźć siostrę głównej bohaterki w piekle. Więc bierze kota, wkłada nogi do miednicy, patrzy w kota i każe głównej bohaterce wyjść z mieszkania. Zamyka oczy, a kiedy je otwiera, jest już w piekle.

Julia: Przenosi się tam dzięki kotu czy miednicy?

Adam: Widzi ogień, rozwalone samochody, jakby było tuż po apokalipsie. Wstaje i idzie przez krajobraz. Ja miałem tak samo, tylko bez ognia: gnijące trupy, latające, zmutowane demony-niedemony. Idąc trzydziestometrową ścieżką, niejeden psychol by wymiękł.

Julia: Czyli ogólnie rzecz biorąc, *Enter the Void* jest przyjemną, estetyczną wersją doświadczenia, o którym mówisz? Bo dla wielu ludzi ten film to ciężka psychodela, wiesz? A Twoim zdaniem to kaszka z mlekiem.

Adam: To ma być psychodela? To jakiś żarcik. Ludzie chyba nie widzieli

prawdziwej psychodelii.

Julia: Sam reżyser otagował film jako „psychodeliczny melodramat".

Adam: Ja przeżywałem psychodeliczny horror. Nie melodramat, kurwa.

Julia: Dla mnie ta scena, w której bohater zostaje zastrzelony w toalecie, a jego dusza ulatuje z ciała i obserwuje wszystko z góry, była porażająca.



Adam: Miałem to samo, tylko że nie wyszedłem wtedy z ciała, bo nie mogłem niczym ruszyć. Nie mogłem wyjść, było jeszcze na to za wcześnie. W ciemnym pomieszczeniu wciągałem puszkę, samotnie...

Julia: Czemu na dodatek w ciemnym pomieszczeniu?!

Adam: Bo zwiększało moc, a ja chciałem zdobyć moc.

Julia: Chodziło Ci o zminimalizowanie bodźców zewnętrznych, jak w komorze deprywacyjnej?

Adam: Nie wiem, robiłem to podświadomie, bez kontroli. Byłem obserwatorem: tak jakbyś nie mogła ruszyć swoim ciałem, tylko siedziała w głowie i patrzyła, co się dzieje.

Julia: Ale wiesz, co to jest komora deprywacyjna?

Adam: Nie.

Julia: Dlatego szybko zbyłeś moje pytanie... Komora deprawacyjna to ekstremalnie wyciemniony, wytłumiony zbiornik, wewnątrz którego człowiek doświadcza zmiany częstotliwości fal mózgowych, jak podczas medytacji. Współcześnie takie komory wykorzystuje się do celów rekreacyjnych, choćby w ośrodkach SPA, gdzie służą relaksacji, ale kiedyś eksperymentowano w nich też z psychodelikami. Bohater *Odmiennych stanów świadomości* zanurza się w roztworze siarczanu magnezu w takiej komorze i poddaje się eksperymentowi badającemu wpływ wywaru z muchomorów na jego umysł.

Komora sama w sobie też może być szkodliwa na dłuższą metę, bo mózg pozbawiony bodźców zmysłowych zaczyna sobie rekompensować ich brak, pojawiają się halucynacje – to wszystko sprawia, że deprywacja sensoryczna bywa stosowana jako forma tortur.

Adam: Czy w moim wypadku to były halucynacje? Żadnej pewności nie mam. Do tej pory pozostały mi ślady po puszce, choć już od dwóch lat nie ciągnę.

Julia: A dokładniej?

Adam: Nie wiem, jak to powiedzieć, to może dla Ciebie śmiesznie zabrzmieć. Wyobraź sobie, że szczeka na mnie pies sąsiada – owczarek niemiecki, bo przeważnie takie psy na mnie reagują. Wystarczyło, że się obróciłem, spojrzałem na niego i wyobraziłem sobie chęć mordu: jak go rozszarpuję, jak go tnę małym nożykiem na drobno... Wyciągnąłem rękę, a pies nagle zaskuczał i spierdolił. Dwa dni go szukali. Po dwóch dniach wrócił, stanął przy płocie, ale ledwo mnie zobaczył, zaskuczał i znów uciekł.

Julia: Czyli w konsekwencji wciągania puszki nabrałeś czarnoksięskich mocy?

Adam: Coś w ten deseń.

Julia: A co z Twoim kumplem – tym, z którym wszedłeś na wyższy poziom? Z nim jest podobnie? Zauważyłeś jakiś wzór zmian psychologicznych, które zachodzą po dłuższym używaniu puszki, czy przebiegają one indywidualnie?

Adam: Indywidualne, on nie przeżył tego co ja. Do siódmego roku życia miałem padaczkę, która zżarła mi pół mózgu. W związku z tym, że byłem jeszcze mały, mózg się zregenerował, w sensie, że jedna półkula, ta techniczna, przejęła działanie drugiej. Ile jest 18 x 21?

Julia: Człowieku, nie dobijaj mnie.

Adam: 378.

Julia: Nie jest przypadkiem tak, że masz przygotowany ten numer, żeby robić na dziewczynach wrażenie?

Adam: [śmiejąc się] Idę na fajkę.

***

Julia: Wiesz, że po wywiadzie ustawią się do Ciebie kolejki polonistek, które będą chciały, żebyś je uleczył swoją dłonią?

Adam: W momencie, kiedy przestałem brać puszkę, moc zaczęła stopniowo zanikać.

Julia: Czujesz się dzięki temu doświadczeniu lepszy od innych?

Adam: Mocniejszy. Mogę robić rzeczy, których normalni ludzie nie są w stanie robić. Weźmy taki trening. Jak trenujesz normalnie, nie wiem, podciąganie czy coś, trzeba intensywnie pracować, żeby dojść do formy – a mi wystarczy tydzień na wytrenowanie tej partii mięśni, której akurat potrzebuję.

Julia: To czemu nie przenosisz tej energii na działania, które pozwolą Ci coś osiągnąć w jakiejś dziedzinie?

Adam: To jest właśnie ryzyko. Normalnie Ty jesteś sobą, no nie? W Twojej głowie jest jedna osoba. A u mnie są dwie.

Julia: Obecnie też są dwie czy tylko po puszce?

Adam: Dalej są dwie. Do końca życia już będą dwie. Dlatego, że kiedyś wykonałem taki rytuał. U mnie w szkole, w dwudziestce [XX LO w Krakowie – przyp. J.G.], siedziałem sobie w kiblu i wciągałem puszkę. Zobaczyłem wtedy pentagram. I sobie pomyślałem: „Fajny pentagram, śmieszny taki, ze znaczkami dookoła". Na drugi dzień przyszedłem zobaczyć ten pentagram jeszcze raz. Nie ma pentagramu. Dlaczego nie ma pentagramu, skoro był wyryty dłutem, nie wiem, jakimś nożem? Następnego dnia znów wciągałem puszkę i znów zobaczyłem ten pentagram. Nagle jakiś głos do mnie mówi: „Chcesz dostać się dalej, przepisz pentagram". No to przepisałem pentagram, długopisem narysowałem, ale widzę, że długopis się rozmazał, i słyszę głos: „Co Ty odpierdalasz? Postaraj się bardziej. Nie przepisałeś go dokładnie". Przepisałem go wtedy dokładnie, a głos mówi: „To teraz otwórz drzwi". Otworzyłem drzwi, a tam ciemność, pustka na dole. Jeden krok i jesteś na innym poziomie, ale spanikowałem, zamknąłem drzwi i nie wszedłem tam. Nie wiem, jak by to się skończyło.

Julia: Prowadziłam ze znajomym dyskusję o tym, na ile pewne wizje, które pojawiają się w halucynacjach, wywodzą się z naszych pierwotnych struktur wyobrażeniowych, a na ile są warunkowane przez kulturę i otoczenie. Na przykład, egzorcyzm to moim zdaniem forma hipnozy, odwołująca się do sfery symbolicznej danej wspólnoty. Egzorcyzmowani reagują na polecenia egzorcysty przewidywalnymi dla tego drugiego działaniami, które są następnie interpretowane według pewnego wzorca. Dlatego wszystko do siebie pasuje. W wizjach szamańskich, z kolei, pojawiają się motywy jaszczurek, robaków czy węży – ewidentnie reprezentujące florę i faunę charakterystyczne dla danego regionu. Twoje wizje są turpistyczne, pełne demonów wywodzących się z kultury judeochrześcijańskiej. Myślisz, że one Ci się wizualizują, bo istnieją naprawdę, czy dlatego, że w naszej kulturze „metafizyczne zło" przedstawia się w takiej



właśnie postaci?

Adam: Inaczej. Wyobraź sobie, że jest byt, który dla drugiego – takiego samego jak on – bytu jest tylko bytem, a dla człowieka, który jest inny, będzie widzialny jako postać, którą ten człowiek może zrozumieć, zobaczyć. Ja nie jestem katolikiem. Jestem protestantem, Adwentystą Dnia Siódmego. Tylko że zboczyłem *de facto* jakby ze swojej ścieżki prawości.

Julia: No dobra, ale pozostajemy jednak w kręgu kultury judeochrześcijańskiej.

Adam: Mnie się chrześcijaństwo negatywnie kojarzy z katolicyzmem. Im silniej ktoś wierzy, tym silniejsze będzie miał wizje czy halucynacje, jak zwał, tak zwał. To kwestia przekonania w umyśle. Ty bierzesz coś za pewnik i przez to ta siła może do Ciebie wejść pod tym właśnie kątem, bo Ty ustanawiasz, że coś takiego jest – i dlatego widzisz to, co widzisz.

Julia: To dobrze czy źle?

Adam: To zależy. Jak wciągałem puszkę, to było bardzo złe. Kiedyś, to były same początki, między pierwszym a drugim etapem, siedziałem w gronie siedmiu osób, które nie ciągnęły puszki, tylko piły browar. Ja, ciągnąc puszkę, zacząłem myśleć, że jestem jakimś wampirem albo coś takiego. Wmawiając to sobie, zacząłem się rozglądać i zobaczyłem, jak u koleżanki tętnica pulsuje. I słyszę krew w tętnicy, i chcę ją ugryźć – ugryźć w tę tętnicę. W ostatniej chwili się ogarnąłem, kurwa, naprawdę. Przeciąłbym jej tętnicę i by się tam wykrwawiła.

Julia: Zastanawiam się, czy jakbym ja ciągnęła puszkę, to też bym się widziała w roli wampirzycy. Nie interesują mnie pentagramy, wampiry i piekło, a Ty jesteś przesiąknięty tą symboliką. Czy to są uniwersalne wizje? Jakie wizje miał Lutek?

Adam: Demony, *stricte* demony. Przewijają u każdego. Demony są zawsze. Nie wiem, czy Ty wierzysz, czy nie, ale demony istnieją naprawdę. Złe duchy, które próbują skłonić nas do złych rzeczy. To wszystko są ich sprawy.

Julia: Wierzysz w reinkarnację?

Adam: Nie można powiedzieć, że wierzę, ale podejrzewam, że coś takiego może istnieć, gdyż właśnie po puszce nagle potrafiłem rzeczy, których wcześniej nie umiałem – na przykład, znałem instrukcję obsługi jak złamać komuś rękę. Bardzo prosto. Sprawdzałem ją potem u siebie i czułem, że zaraz mi bark wypadnie.

Julia: Jest taka teoria, że gromadzimy w pamięci wszystkie informacje, które nam kiedyś mignęły przed oczami, tylko że umysł, dla swojego do-

bra, by nie przemęczać się nadmiarem zbędnych danych, archiwizuje je w podświadomości. Dopiero pod wpływem jakichś wydarzeń, doznań mogą się ujawnić. Jak w filmie *Jestem Bogiem*. Widziałeś to?

Adam: *Limitless*? Oczywiście, kilka razy.

Julia: Czy to jest coś takiego?

Adam: Nie. Jestem pewien na 110%, kurwa, że ja tej instrukcji wcześniej nie znałem. To była wiedza wzięta z niczego.

Ten drugi, który jest u mnie w głowie *de facto*, to jego biografia jest taka, że urodził się w 894 roku i ciągle powraca. Odradza się co sto lat. Ja jestem jego dziesiątym nosicielem dlatego, że pozwoliłem mu przez tę puszkę wejść, bo poszedłem w mistycyzm itd. To się wydaje nierealne, ale jest prawdziwe. Boję się tego i dlatego próbuję go ograniczać. Wiesz, co musi się stać, żeby on wyszedł na wierzch? Ja się chowam, a on wychodzi – tylko musi być alkohol. Muszę mieć tak gdzieś półtora promila alkoholu we krwi, czyli być dość najebany, i muszę stracić przytomność. Wiesz, co się stało kiedyś? Szedłem najebany od kumpla z Borku Fałęckiego na Prądnik Biały. Zaczepiło mnie trzech typów o szluga, upaliłem szluga i powiedziałem, że niech spierdalają, że nie dam, bo mam trzy. Pamiętam, że spuścili mi wpierdol. Obudziłem się paląc szluga na ławce. Obracam się w prawo – nie ma nic. Obracam się w lewo, i myślę: „Co jest, kurwa?". Leży trzech kolesi, cali we krwi. Leżą na chodniku, prawie martwi. Puls mieli ledwo wyczuwalny. Zdążyłem tylko zadzwonić na karetkę i spierdolić. Powiedziałem przez telefon, że: „No, była walka kiboli, ktoś się tutaj pobił, leżą trzy osoby". Nie miałem świadomości, jak potem spojrzałem na na zegarek, przez cztery, pięć minut.

Julia: Wow, niesamowite.

Adam: To jest niesamowite. Żaden z moich kumpli mi nie uwierzył. Bałem się siebie, że mam dalej halucynacje, a to było już pół roku po tym, jak ostatni raz wziąłem puszkę. Ja jestem spokojny, nigdy nikogo bym nie uderzył. Nie zmasakrowałbym trzech kolesi tak, że mieli ryje rozjechane, jakby byli w rzeźni, kurwa. Przecież na początku prawie na nich zwymiotowałem.

Julia: Jesteś pewien, że to nie był *flashback*?

Adam: Sprawdzałem im puls. Dzwoniłem na pogotowie. Miałem to połączenie zapisane następnego dnia. Nie mam pojęcia, co się stało. Nie pamiętam z tego nic. To był ten drugi: on wyszedł, zrobił, co miał zrobić, odpalił sobie szluga, a wtedy ja się obudziłem. Stwierdziłem potem,

że nie mogę przesadzać z alkoholem. Od tego czasu praktycznie nie piję w dużych ilościach. Jeśli nie dopuszczam do utraty przytomności, ten drugi tylko próbuje wyjść. Może mnie wspomóc, ale nie może przejąć kontroli.

Julia: Myślisz, że Twoja zdolność do odczuwania tych rzeczy może być związana z padaczką?

Adam: Może być. Jak byłem z tym w szpitalu potem [po zarzuceniu „puszki" – przyp. J.G.], lekarka powiedziała, że mój układ nerwowy został spalony... Zregenerował się dopiero kilka miesięcy temu. Nie zdawałem sobie sprawy, że to jest tak szkodliwe, byłem wciągnięty jak narkoman. Jak po heroinie, kurwa. Nie mogłem przestać.

Julia: A co się dzieje z Lutkiem?

Adam: W związku z tym, że myśmy w siedmiu ciągnęli puszkę, jak ja zadecydowałem, że z puszką koniec, to wszyscy naraz przestaliśmy. Miałem bardzo złe fazy i myśli, więc zacząłem jarać, żeby je ustabilizować. Dopiero po półtora roku terapii jaraniem uspokoiłem się i od pół roku, siedmiu miesięcy, nie mam takich przejebanych faz.

Julia: Czy uważasz, że gdyby palenie było w Polsce, no, może nie zalegalizowane, bo to jeszcze lata świetlne przed nami, ale zdepenalizowane, to mniej osób sięgałoby po takie ekstrema, jak puszka?

Adam: Szczerze? Myślę, że na pewno. Wyobraź sobie, że koleś chce coś zrobić. Chce się jakoś, kurwa, naćpać. Każdy lubi przyjemność. Ale jak ma do wyboru jakieś jaranie za trzy dychy, kurwa, którego chuj wie, ile dostanie, i chuj wie, jak to skminić, albo puszkę, która jest w każdym Rossmannie, w każdym sklepie RTV-AGD; która jest ogólnodostępna i którą można legalnie kupić – to co by ten koleś wolał? Coś legalnego, co może kupić w sklepie i zapłacić za to w kasie, czy coś, za czym musi ganiać?

Julia: Jednak chyba każdy lekko rozgarnięty człowiek, począwszy od gimnazjum, wie, że tego typu chemikalia są bardziej szkodliwe niż zioło.

Adam: Ja nie wiedziałem w sumie. Nikt nie wiedział. Jak dla mnie, marihuana powinna być powszechna. To jest lek. Ona wyleczyła mój mózg. Miałem tak styrany baniak, że bałem się, że jak mnie odetnie i ten drugi wejdzie, to rozszarpię swojego najlepszego kumpla.

Tamil Kuszyński

Krokusy

(click to play)

status edycji

mahomet: circa 1/4 g
mdma: 1/8 g
marihuana: 1 g
kokaina (chyba):
kreska



Marcin Ostrychacz

Magneto nadciąga,

a ludzkość bez X – Menów, tylko dzielnicowy
przyłapał gówniarzy na bujaniu w chmurach.

Być wielkim oczekiwaniem wobec przyszłości.
Innym, niż neoindyjska księżniczka
tańcząca elektroniczne goa na brzuchu suszkowego Ganesha,
czy ten androginiczny technoszaman z dziwną jogą
przy pomniku Woodrowa.
Czy to nie my jesteśmy kolejnym etapem?
Wielki paw człowieczeństwa po kolacji w maku.
Chciałbym, aby w mojej chmurce wisiało coś więcej,
niż, że jeżdżę na desce i palę stuff, niż, że piszę
i zostawiam białe plamy na obsydianowym szkle.
Boże, niżże, mózg czeka na łaty.

Podobno karawana jest nieunikniona.
Po drodze mijałem kwaśne fatamorgany.
Wielbłędy o ludzkich twarzach
żuły złoty piach,
pełzł wąż z niemowlakiem w pysku,
uskrzydlony rój nad wzgórzami Rotten Meat
domagał się podwyżki.
Chodnik się objawił jako zwierzęca ścieżka,
wodopój jako Kaufland.
Myślałem o tym w kolejce po pracę.
Bezbronny wobec wyroków miasteczka
skazanego na śmierć demograficzną,
bezbronny wobec wyroków puszczy
skazanej na opał.
Echo słonecznej burzy dotarło do Ziemi
i zaczął się dramat człowieka,
który bez elektryka nie zmieni
żarówki.

A teraz jakiś Jimmy apeluje o pomoc
dla swojej neopedii.
Ale ktoś światu w uszy nalał wosku,
wysłał wodę do Afryki
w liście,
pikietował na Wall Street,
modną rewolucję focąc najnowszym iPadem.
Rytualne wciśnięcie guzika tuż po powrocie z pracy.
Można powiedzieć *mój przyjaciel PieC*.
Skąd to się bierze? W nas.
Coś wisi w powietrzu. Wiesz o tym,
chociaż tego nie widać.
Po kablu do wtyczki.
Kolejna apokalipsa to niewypał
znaleziony przy oraniu mózgu.
Przez dziury w konspiracjach
wpadają Reptalianie.
Podobno cesarstwo na kolanach odbywa pielgrzymkę
do krateru Trinity.
Wojna światów zakrojona wzdłuż i wszerz.
Wojny zaświatów cieszą się wysoką oglądalnością.
Pelikany dryfujące nad światłoczułym morzem,
połykają okruchy faktów.
Enzensberger się nie mylił, co do faktów.
Grzyby na wszelkich horyzontach
widać z kosmosu, jakby były główkami zapałek
tuż po.
Matko Boska, tej!
Biały dym oznajmi czarnego papieża,
a świat się rozpadnie do środka
i nikogo to nie obejdzie.
Wyglądamy jak przez okno Windowsa.
Dalej w rzyciwistości.
Przepołowieni.
Biedni bogacze,
bogaci biedacy.
Być puszczą i tartakiem, równolegle
odwiedzać dwie jaźnie.
Rybik cukrowy i skorek pospolity
zasypiają przytuleni do siebie.

Bagaże doświadczeń,
dokąd się wieziecie?
Umierać na pustyni, zmartwychwstawać w ogrodzie –
to z reklamy Nieba.


SŁAWOMIR SHUTY
PREZENTUJE










OCHRONA

Przemysław Witkowski

ludzie

duże kury,
długie świnie.

status edycji

LSD

GRAYSCALE

Status edycji?
W trakcie 72 godzin przygotowywania tekstu zostało wypite kilkadziesiąt (?) piw, dwie butelki taniego wina (na pół), około półtora litra wódki oraz wypalona paczka tytoniu Black Devil.

DUPCAC
Hotline Miami

Napój ten przeznaczony jest dla silnych i pewnych siebie mężczyzn z klasy wyższej, którzy nad popularność przedkładają autorytet i dobrze wiedzą, jak rozumiana jest we Wschodniej Europie władza. Na początku nie mogłem, obudziłem się, macam się po kroczu: jest w swoim miejscu, dopijam piwo. Gdzie są te dni, kiedy ich potrzeba? Teraz. Po serii telefonów na później dostałem w gratisie cztery dni wyciągnięte z życiorysu, wystaję teraz z dupy: przecieram sobie głowę, która czuje się dobrze.

Próbuję jeszcze raz. Wczoraj: człowiek mówi mi, że z tą laską nic nie będzie, człowiek mówi, że trzeba dupcyć, nic z tego nie będzie, mówię, to są jakieś jaja, nie jesteśmy w XIX wieku, nie interesuje mnie komunikacja tego rodzaju. Człowiek mówi: no to nie zadupcysz. Mówię, że wiem to, że szkoda, ale no nie zrobię tego, odechciewa mi się tego, kiedy o tym myślę, a z drugiej strony, to mi się zwyczajnie nie chce. Zwykle nie chce mi się dupcyć. Kto kogo wydupca na co dzień? Czy to naprawdę potrzebne? Drzemy się i śpiewamy piosenkę. Pije-

my. Kto się z nas śmieje, skoro jesteśmy najlepszą partią polityczną w tym miejscu? Randomy. Człowieku, rozstałem się z tą, lizałem tamtą na skwerku za Petrochemią, mówi człowiek, słucham tego, z tą artystką to masz doświadczenie, no mam, mam też obecnie okres namysłu, no nici z dupcenia, nie taki zresztą był plan, mówię, przyszedłem się z wami napić. Nie ma żadnego dupcenia, zakładam słuchawkę na głowę. Dupcenie przegrywa z piciem, a tym bardziej z grami. My jesteśmy od gier komputerowych, chamie, nas te sprawy nie interesują, to jest przełom tysiąclecia, ważny okres, trzeba grać, znasz to, jakie są nowe pliki, w co się gra w tym tygodniu. Co jest na Steamie teraz? Człowiek rozkłada się, chce iść spać. Przerwa na szczanie: po ścianach, podłodze, własnych spodniach (najgorzej). Odciągany plan: idziemy do lokalu pod spodem, tam będzie dupcenie, życzliwe zapewnienie klepie mnie w plecy. Nie idę do lokalu pod spodem. Idę do domu, gdzie mam iść. Praca naukowca wymaga zapobiegliwości, w lodówce mam jeszcze dwie puszki. Włączam *Hotline Miami*, napisuję jeszcze jakieś zaległe albo zupełnie debilne SMS-y, gram, nie chce mi się pisać tych gówien, nie trafiam we wrogów, resetuję i zaczynam od początku, od łatwiejszych leveli, dochodzę do siódmego, otwieram drugie. Zostawiam w połowie. *Savepoint* = siódmy level, to będzie ważne później, zaczekaj na ten moment, daj chwilę.

Na początku nie mogłem, obudziłem się, macam się po kroczu: jest w swoim miejscu, dopijam pół piwa. Moje astralne ciało jest teraz trzy miliony kilometrów stąd i wygłasza referat na-

ukowy na temat, który przestał mnie interesować (nie muszę już tego czytać, można sobie przeczytać samemu, dajcie luzy), prawdziwe ciało z dupą i głową zostaje w mieście. Tym samym zbiegiem okoliczności chata jest wolna, łóżko obejmuje jedną tylko osobę, psa, kota, worek z jabłkami, bluzę, długopis. Druga osoba jest natomiast tam, to będzie ważne później, już za chwilę. Jem coś (co?), wyprowadzam pieskę, daję jeść wszystkim mordom, otwieram piwo, włączam *Hotline Miami*. Jestem w ósmym levelu, najzajebistszym. Gra w *Hotline Miami* polega na zabijaniu Ruskich. Jesteś zawodnikiem w masce i kurtce, który wchodzi do budynku i zabija Ruskich, a do tego gra muzyka. Zbierasz bronie, zabijanie to za małe słowo, robisz masakrę jak człowiek po kazaniu. Przeszedłem *Hotline Miami* już dwa razy. Teraz się gubię. W ósmym levelu gra najzajebistsza muzyka. W ósmym levelu są stroboskopy, level w dyskotece, i aparat muli przy stroboskopach, nie przetwarza materiału wizualnego, łatwiej jest robić uniki, coś z tego mam. Robię raz jeszcze. Wychodzę do chińczyka na Wielkich Młynów, chyba. Jest piątek, ale nie ma ryby, nie ma nawet zupy rybnej w menu, choć w piątki wypada sobie pozwolić na rybę, jem tofu. Kelnerka, nie wiem, jej koleżanka, żul, gruba baba. Dlaczego ludzie nie amputują sobie tych bąbli? Po co to mieć? Brzydzę się, zacinam, sterczą z tego włosy. Piję do tego piwo i myślę, że opiszę to popołudnie do „Nośnika". „Nośnik" osrywa się redakcjami. Kupuję świeczki urodzinowe w żabce, takie popołudnie jest tylko raz w roku, trzeba zaświętować, chata wolna, myślę, że spiszę to popołudnie i będzie materiał do „Nośnika". Nie mam czasu grać. Nalewam sobie banię, bo mam zero sie-

dem za przysługi. Witam cię, kolego Tytusie. Siadam do aparatu, piszę, daje jeść zwierzętom, jebią mi się klawisze, próbuję jeszcze raz od początku, tzn. kasuję pierwszy akapit i piszę go jeszcze raz, przesuwam też kilka pomysłów albo rzeczy. Najpierw włączam soundtrack z *Hotline Miami*, ale nie dosłucham do kawałka z ósmego levelu, bo będzie trzeba iść na próbę, nalewam sobie banię i zapalam świeczkę. Pukam palcem krawędź klawisza, kot sra. Wchodzi wolniejszy kawałek, który gra chyba na planszy z punktami, spada tempo pięciu przemian. Poruszaliśmy więcej tematów, ale nie chce mi się do nich wracać. Dziewczyna z poprzedniego lokalu też była bardzo fajna. Od dłuższego czasu proponuję metodę na długie skarpety do spodenek, doceniam. Człowiek mówi o każdej: dupcyłbym, ale chuja wydupcy, tak są ustawione szczeble. Ja mógłbym, wieszczę na skale kapsla, ale jest taka wskazówka, ale zwyczajowo mi się nie chce. Jesteśmy w fazie postfeministycznej, mężczyźni rezygnują przed początkiem, ona stawia serię bań na barze, jest późny wieczór albo nawet noc, wokół kręcą się, wychodzę na papierosa do Psa, wracam albo w odwrotnej kolejności, nie wiem nawet, o kogo chodzi. Nie ma dupcenia, przegrywa z piciem i grami. Co robisz, gnoju zasrany? W tej egzystencji. Dziękuję, że jesteś chujem, napis na fejsie, pozdrawiam. Nic z tego nie będzie, mówię, po czym sprawdzam stan powiadomień. Głaszczę pieskę. Powiedzmy, że uzależniam się od dłuższego czasu od soundtracku z *Hotline Miami*. Wchodzi tytułowy, ładuję się w jakieś pętle. Bania, podtrzymywanie bańki rusztowaniem łokcia, egipska metoda przenoszenia kamieni. Wszystkie kamienie naraz. Miałem bez-

tlenowce w kanale, operowali mnie laserem, mówi chuj. Ty jesteś chuj. Radość! Wspaniale to słyszeć, mam zamknięte oko. Klikam do muzyki z bossem, *Turf*. Idę na próbę, kończy mi się albo nawet się nie włączyło, bo nie czuję tych bań z jakiegoś powodu. Zawieszam się. Na próbie napierdalam i proponuję, że zagrajmy koncert, ten kontent już chodzi sam, nie trzeba go szlifować, weźcie chodźcie. Poszliśmy. Przełącznik: napierdalam. W mojej klawiaturze żyją robaki, komputer zostaje sproblematyzowany, prawda jest jednak inna, wiem to, nie było dupcenia tej nocy. Nie spałem z nią, jedna rzecz to nie jest seks, gadżet do piwa, przypnij sobie do klucza, ale nie ma licznika na te sprawy, uważaj na to. Człowiek mówi: idźcie na Kijowską, tramwaj jeździ co dziesięć minut, a kłamstwo, jak wiemy, wychodzi ostatnie: najpierw zdrapuje się powłokę, później wyciska białe. Wychodzę na spacer trzymając piwo, ale ulica jest policyjna. Glonojad potrzebny od zaraz.

Zaliczam level osiemdziesiąty po powrocie. Trwa pełna synchronizacja: serwer mózgu odczepia się od klienta ręki, gnida zostaje zduszona w zarodku, przysłowiowy plik zostaje przegrany na drugą część dysku, sukcesywnie pozdrawiam odbiorcę stojącą ręką nocy. W tej sytuacji stawia nas życie, mówię, należy mieszkać dalej od rzeki z tej samej racji, dla której kot powinien mieć napis na szyi, następuje kotwica, wychodzę z domu (niby że do Betelu, poczekam tam na was, jak coś to dzwońcie, ale idzie mnie do osiedlowej pijalni, gdzie przyjmie mnie drewno i taniość), spotykam człowieka: daję mu dwie świeczki i złoty pięćdziesiąt, faktycznie jednak proponuję

wypicie butelki na dwóch koło tego płotu, zwracam poniesione nakłady: jak jest?

Jest oferta. Dostaję numer do firmy przewozowej z Austrii, biorę wizytówkę, oddaję (ostatnia), powołuję się na tego tu człowieka, jakbym miał lekarza, żeby pisał recepty, następuje wymiana numerów i uścisków, bo pijemy już drugi baniak. Hitler. Od grubego studenciarza wyciągamy butelkę wody mineralnej, dajże nam coś do picia, nie bój się. Na chuj ta woda? Ostrożność w dupceniu: hotlinia, żonę swoją zabije, łeb jej ujebie, człowiek zakładałby maskę zwierzęcia, nie dupc z byle kim, braciszku, mnie wychujała na mieszkanie budowane przez ojca działacza przez wiele lat w partii i jego ojca, który chronił Żydów w czasie wojny hitlerowskiej. Daję pięćdziesiąt zeta z żyły. *Zaczynam się masturbować odruchowo*, dopisuję ten fragment już w październiku w losowym miejscu.

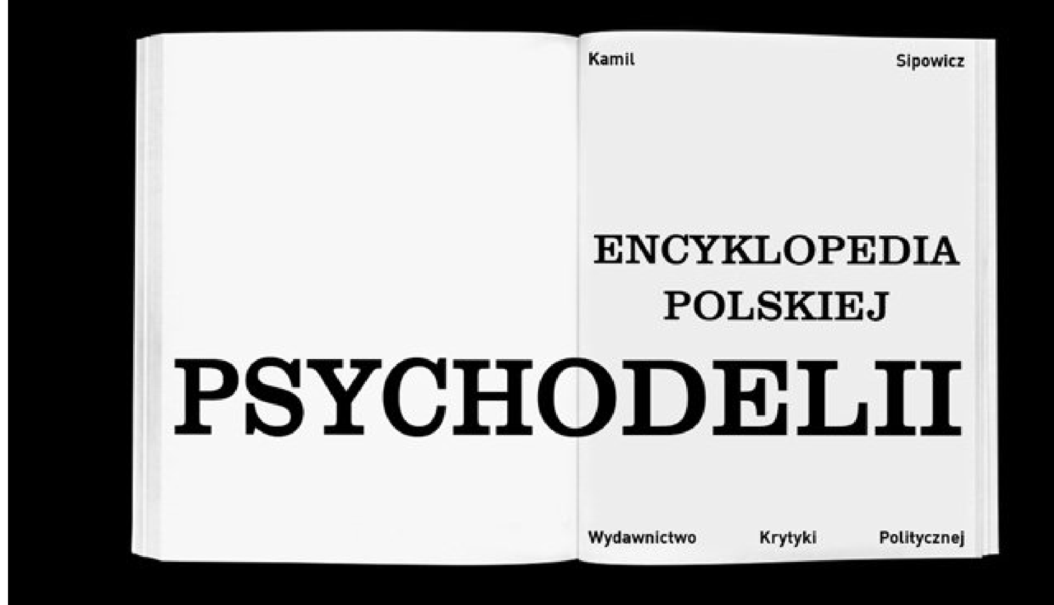
Wciskam mu w rękę pięćdziesiąt zeta na życie i przyspieszam kroku, nie Wisłą, ulicą, nie wiem, na którym etapie jestem, nie było standaryzacji baniaków, na ile się to kawałków przekłada, ale warto. Wchodzę do Psa, mijam dziewczynę (czy miałbym się z nią dupcyć?), to znaczy znacznie więcej ludzi, ale już nie mogę patrzeć pod światło, dopijam piwo, dwa w totalnej ciemności, nikt się do mnie nie dosiada, nie wiem nawet, czy siedzę. Wracając montuję jeszcze dwie puszki, mam jedną czkawkę, ale udaje się przekazać komunikat, jedno robię siedząc szybko na łóżku, próbuję włączyć komputer, ale wypada na ziemię telefon i się rozdupca, drugiego zostawiam pół.

* * *

Ludzie pytają mnie: jak grać w *Hotline Miami*?
Odpowiedź jest jedna: nie dupcyć.
Level dwunasty.
Karty.


+340PTS

APPENDIX



Arkadiusz Wierzba / *Encyklika psychobeki*

{Rec.} Kamil Sipowicz, *Encyklopedia polskiej psychodelii. Od Mickiewicza do Masłowskiej, od Witkacego do street-artu*, Warszawa 2013.

O planowanej przez Sipowicza książce usłyszałem po raz pierwszy, gdy Pułka wspomniał o swojej z nim korespondencji. Filozof z Otwocka szykował wtedy summę psychodeliczną, której część miała zostać poświęcona poecie z Rudnika – dzieło w zamierzeniu rozległe i wyczerpujące temat kulturotwórczej roli substancji psychoaktywnych w Polsce, w dodatku pod auspicjami wydawnictwa poważnie zaangażowanego w kreowanie ideowych podstaw sensownej polityki narkotykowej. Żadnej książki Sipowicza wcześniej nie czytałem, był dla mnie tylko celebrytą z serwisów plotkarskich (umiarkowanie zabawnym), wspierającym przy jakiejś okazji marzenia Palikota o korycie (średnio zabawne) i walczącym w obronie prawa psów do jarunku (bardzo zabawne, a i słuszne zarazem). CV doktora filozofii chrześcijańskiej wskazywało natomiast na mocne zaplecze merytoryczne (uniwersytety, czasopisma, referaty): można było mieć nadzieję, że KaPecja szykuje poważną torpedę. Lecz zapomniałem byłem, że książek nie ocenia się po okładkach i tytułach, a doktorów po oficjalnych życiorysach. Sam więc sobie zgotowałem rozczarowanie. I wkurw. Niesamowity wkurw.

Encyklopedia?

Kto pisze encyklopedię w pojedynkę? To jakiś żarcik? Dowcipna redakcja mogła zatem zasygnalizować to lolem, emotą lub choćby cudzysłowem. Inaczej łatwo zostać posądzonym o niecne intencje zbijania hajsu na ludzkiej naiwności (pomyślmy o biednych rodzinach kupujących dzieciom tę encyklopedię na pierwszą komunię lub pierwszego kwasa…). Polityka narkotykowa w kraju okupowanym przez policję – zbrojne ramię zorganizowanej przestępczości narkotykowej – to sprawa niezwykle poważna, panie Sipowicz, dobrze pan o tym wie (mam nadzieję). Fatalnie, że już na etapie przygotowań nie pomyślano o stworzeniu zespołu (ekspertów, redaktorów, artystów) do pracy nad taką popularyzatorsko-edukacyjną monografią (nie było nikogo do tej roboty? Serio?). W efekcie dopuszczono do druku książkę niezwykle ważną, lecz absolutnie badziewną w wykonaniu, momentami wręcz żałosną. Dlaczego ta monumentalna praca powierzona została opiece redakcyjnej jednej zaledwie osoby, która z racji wykształcenia i zainteresowań mogła co najwyżej postarać się o doszlifowanie literacko-językowej warstwy publikacji? (Mowa o polonistce, Marcie Konarzewskiej).

Encyklopedia polskiej psychodelii z encyklopedią nie ma nic wspólnego, słusznie zwracali już na to uwagę jej nieliczni recenzenci (w „Polityce" i na portalu popmoderna). Jej układ oscyluje raczej między subiektywnym leksykonem i antologią tekstów z komentarzami redakcyjnymi. Niezbyt encyklopedyczny jest też jej kontent: część to nawet zgrabnie napisane i dość interesujące eseje popularyzatorskie (pierwsze kilka rozdziałów), reszta to wielki melanż lepszych i gorszych żartów, para-biogramów, fury tekstów i nierównej jakości grafik (polecam kontemplację rysunków ze strony 364). Pomiędzy tym wszystkim masa prywatnych opinii (np. słabo uzasadnione postponowanie amerykańskiego etapu działalności czeskiego badacza LSD, Stanislava Grofa, s. 16) i tzw. wniosków z dupy. Część z nich wynika z niezgrabnego operowania komentarzem interpretacyjnym i własnymi przemyśleniami o naturze rzeczywistości, jak choćby we fragmencie poświęconym księdze Zohar, gdzie – ni stąd ni zowąd – dowiadujemy się, iż: „Grzyb był u zarania przy boskim Wielkim Wybuchu i będzie u jego kresu jako eksplozja termojądrowa" (s. 26). Bardzo fajny obrazek, taka wizja Sipowicza, ro-

zumiem. Pytanie brzmi: jaki jest jej związek z Zohar i dlaczego komentarz do Scholema nie został oddzielony od impresji autora książki?

Wnioski z dupy generuje też karkołomna metodologia tej publikacji. Schemat doboru i czytania tekstów kultury, pozbawiony jakiegoś sensownego, antropologicznego zamysłu, sprowadza się tu do modelu:

1 brał to i to, napisał to i to – tak właśnie wygląda ogromny rozdział o Pułce (s. 264-284), który składa się wyłącznie z listy deklarowanego spożycia (którą Sipowicz uzyskał korespondencyjnie od podmiotu czynności twórczych) i fragmentu prozy *Vida Local*, po którym następuje przedruk CAŁOŚCI *Vida Local* (gdzie powielony zostaje raz jeszcze cytowany wcześniej fragment – to jakiś kompletny idiotyzm, przeoczony najwyraźniej przez redaktorkę). Miało to miejsce jeszcze przed premierą, zgody na to Sipowicz nie otrzymał (jeśli otrzymał, to jaką drogą?), a nieżyjący nie zaprotestuje, więc debiutancka proza Pułki miała swoją pośmiertną prapremierę w KaPecji. Ciekawe, czy Sipowicz w ogóle zadał sobie trud przeczytania całości, skoro tak nonszalancko ją potraktował?

2 nie wiadomo czy brał, ale:

a. teksty sprawiają wrażenie, jakby brał – np. w rozdziale o Mickiewiczu czytamy: „Makabryczno-komiczne wizje guślarza są typowe dla upojenia roślinnymi substancjami psychodelicznymi” (s. 55). Właściwie, jak się dobrze człowiek nakurwi, to wszystko jest do wszystkiego podobne, bo przecież kosmos to korpuskularno-falowa jednia, czyż nie? Rodzi się zatem pytanie: jakie substancje przy pisaniu „encyklopedii” spożywał Sipowicz? I czy aby nie przesadził jednak z dawkowaniem?

b. ubierał się / wyglądał / zachowywał, jakby brał – ten chwyt interpretacyjny sprawdził się wyjątkowo dobrze w rozdziale o Potockim, którego Sipowicz ochrzcił mianem „protohipisa” (s. 51).

c. znał tych, co brali / przebywał tam, gdzie brano / na pewno miał dostęp – więc brał, brał, brał! Musiał! Jak choćby Czechowicz i jego koledzy z cyganerii lubelskiej, bo: „Wystarczy (...) przeczytać

gazety z epoki, na przykład »Express Lubelski« z 12 sierpnia 1932, aby znaleźć alarmujące teksty o częstych w mieście zatruciach opium” (s. 90).

Ostatecznie model ten byłby nawet do przyjęcia, o ile w efekcie jego zastosowania do czytania tekstów kultury zaoferowano by czytelnikowi inspirujące, niebanalne, przełomowe interpretacje klasycznych dzieł. Interpretacja jednak wychodzi Sipowiczowi najgorzej. Właściwie wszystkie komentarze do zamieszczonych w *Encyklopedii* tekstów sprowadzają się do nieznośnej dystrybucji tych samych komunałów o wizyjności lub niepokojących napięciach. To interpretacyjne kalectwo wyjątkowo jaskrawo uwidacznia rozdział o poezji współczesnej, poświęcony między innymi Kopytowi i Górze, gdzie natrafimy na taki oto brawurowy popis błyskotliwości:

> Ich poezja to heraklitejski strumień (świadomości), gdzie filozofia, teologia, dzień codzienny, buddyzm, anarchizm, recykling (w każdym znaczeniu), subkultury, fizyka kwantowa i matematyka walczą o swoje miejsce w ich nadwyrężonych czakrach. (s. 243)

Ten komentarz to albo dowód absolutnej ignorancji i nieznajomości tematu (wersja łagodna), albo wyjątkowej głupoty i braku wrażliwości czytelniczej (wersja *hard*). Cytat, w zestawieniu z twórczością Góry i Kopyta, mówi sam za siebie. Nie czas i miejsce, by tłumaczyć tu charakter tej wtopy. Podejrzewam zresztą, że przy takim braku autokrytycyzmu, jaki prezentuje ta publikacja, moje tłumaczenia nie na wiele by się zdały. Kamil Sipowicz bowiem to nie tylko autor omawianego kompendium, ale i **jeden z czołowych przedstawicieli psychodelii polskiej**, np. w poezji (s. 30). W ten sposób dowiedziałem się, że pisał wiersze. I chciałbym o tym w miarę szybko zapomnieć.

Status autora, choć niby traktowany ironicznie (*vide*: żart z trylogią Sienkiewicza na okładce) zdaje się być dla autora sprawą kluczową, bo wspomina on o swojej randze wyjątkowo często (maskując się żartem), zamiast skupić się na odwaleniu sensownej monografii z zacięciem popularyzatorskim (tak jak udało mu się to w komentarzu do dziejów kultury na wstępie: sporo ciekawych informacji, naprawdę). Przez to projekt trąci narcystycznym zadęciem: całość przypomina bardziej encyklikę niż encyklopedię, a psychodelia –

z racji przeważającej części materiału i jego obróbki – raczej psychobekę.

Jakby tego było mało, publikacja – mimo prowadzonych przez autora konsultacji botanicznych – jest niechlujna merytorycznie: czymże są liście tabaki, jeśli nie po prostu liśćmi tytoniu szlachetnego, którego rysunek i łacińska nazwa pojawia się obok tego wątpliwego określenia? (s. 50, dobrze, że nie pojawiają się przynajmniej liście papierosa...). Z racji braku redakcyjnej opieki specjalistów z poszczególnych dziedzin można podejrzewać, że tego typu kiksów jest niestety więcej, co ostatecznie kompromituje podstawy projektu Sipowicza. Totalna klapa, za sześć dyszek w detalu. Można się wkurwić.

I jeszcze jedno: czy to aby na pewno dobry pomysł, by książka o psychodelii wyglądała jak typograficzny śmietnik? Noviki Studio przygotowało świetną okładkę, pełen szacunek, ale to, co graficy zrobili w środku, po prostu utrudnia lekturę! *Encyklopedia* roi się od szkolnych błędów w składzie, wersy w cytatach poetyckich są łamane bez sygnalizacji autorskich zamierzeń, a w operowaniu światłem nie ma żadnej logiki. Rozumiem, że chaos typograficzny miał w zamierzeniu upsychodelicznić tę książkę także w warstwie wizualnej? Czy *Encyklopedię* zaprojektowano do czytania WYŁĄCZNIE na fazie? Jeśli nawet, to czy to dobrze, żeby książka np. o gównie w literaturze miała stronice lepkie od sraki? Raczej wstrzymałbym się z realizacją takich konceptów.

Szkoda tego całego wysiłku i szumu. Cholernie szkoda.



BIOGRAMY

Roman Bromboszcz aka br0mb0x – litera alfabetu kodów numerycznych, używana do wyrażania wartości liczbowych.

Cichy Bob – człowiek z forum.

Julia Girulska – autorka *Faz i Zwałów X Muzy*, serialomanka, scenarzystka. Kuta na cztery nogi szansonistka w spalonym karaoke. Konsumuje.

Krzysztof Kornakiewicz – element pokolenia Y, zamieszkały na krakowskim Ruczaju. W wolnych chwilach studiuje informatykę analityczną. Na przemian podjarany i przerażony tym, co oferują nowe technologie. Publikuje na fejsbuku.

Przemek Krzakiewicz – fotograf pracujący nad długofalowymi projektami tematycznymi. Studiował na łódzkiej filmówce. W dotychczasowych projektach uwagę zwracają przede wszystkim jego obserwacje socjologiczne oraz umiejętność wyrazistego portretowania przedstawicieli grup społecznych doświadczających przemian gospodarczych, obyczajowych czy kulturowych. W swojej pracy korzysta z teorii naukowych, często niesprawdzonych lub nietrafionych.

Tamil Kuszyński – pseudo-dionizos, didżej, awanturnik. Urodzony w Nowej Hucie, wychowany w wiosce na południu Małopolski, łączy w sobie najgorsze przywary Górala i Krakowianina. Zamieszkuje Kraków, gdzie, animując lokalne życie nocne, marzy o ekspansji.

Kuba Niklasiński – wydał dwie książki poetyckie: *Zielona góra* (2001) i *Proste piosenki o mieszanych uczuciach* (2007). Mieszka w Krakowie.

Leszek Onak – ekran dźwiękochłonny. Stonka ziemniaczana tutaj: http://lonaq.tumblr.com

Marcin Ostrychacz – dzieciństwo i młodość spędził w Hajnówce. Studia ukończył w Białymstoku, a po nich udał się do Poznania, gdzie obecnie mieszka. Publikował w „Instynkcie", „artPAPIERZE", „Helikopterze" i „Ricie Baum". Laureat tegorocznej nagrody im. Klemensa Jackowskiego. Wiersze pochodzą z debiutanckiej książki *Zamiatając pod wiatr* (2014).

Łukasz Podgórni – 08 jh bj n kh - próbował: http://pdgr.tumblr.com/

Piotr Puldzian Płucienniczak – względnie utalentowany, komunista. Członek Zielonych. Redaktor Chleba.

Tomasz Pułka (+2012) – poeta i psychonauta.

Sławomir Shuty – krakowski artysta.

Adam Sokół – szara eminencja Białego Prądnika, przyszłoroczny maturzysta, zwolennik Palikota, człowiek wielu doświadczeń, mrocznych zleceń oraz nietypowych profesji. Uwaga: może posiadać co najmniej dwie twarze. Zszedł z drogi prawości.

Wojciech Stępień – porzucił krańcówki, migawki i dulawki. Zamieszkał na krakowskich Klinach. Kompozytor.

Szymon Szwarc – wydał tom wierszy *Kot w Tympanonie* (2012), gra w grupie przestępczej Jesień, mieszka w Toruniu.

Maciej Taranek – ogrodnik.

Arkadiusz Wierzba – czujnik.

Ilona Witkowska – debiutowała książką *splendida realta*, wydaną przez WBPiCAK w Poznaniu, za którą otrzymała nagrodę poetycką Silesius w kategorii debiut roku; mieszka we Wrocławiu.

Przemysław Witkowski – poeta, publicysta, wykładowca uniwersytecki; wydał *lekkie czasy ciężkich chorób* (2009) i *preparaty* (2010).

KONIEC